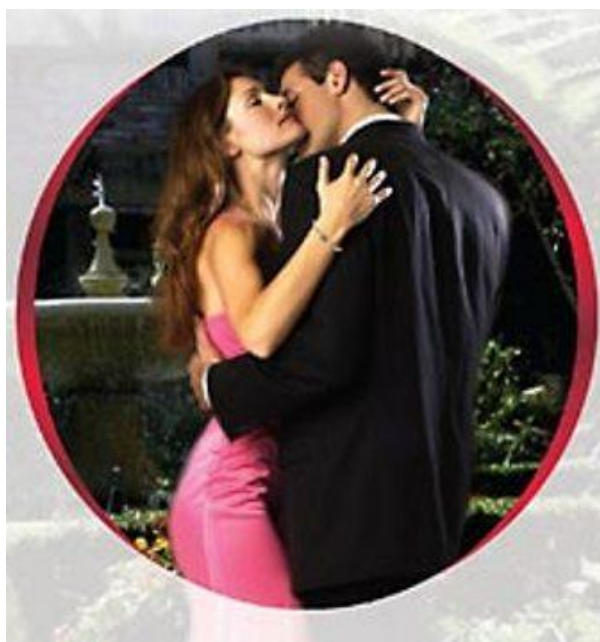




HEATHER ALLISON



***Nie unikniesz
przeznaczenia***

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jak udał się ślub, pani Donahue? - Rose Franklin wyciągnęła rękę po plastikową torbę, którą pani Donahue przyciskała do swego obfitego biustu.

- Moja córeczka wyglądała przepięknie! - Pani Donahue jeszcze mocniej przycisnęła torbę, gniotąc - Rose była o tym przekonana - bogato ozdobioną ślubną suknię, najdroższą, jaką miała w wypożyczalni. - Nawet bosą i bez welonu wyglądałyby oszałamiająco. A suknia pasowała, jakby została na nią uszyta.

Oczywiście to nie była prawda. Córka pani Donahue była siódmą panną młodą, która brała ślub w tej sukni, od czasu gdy Rose kupiła ją od pierwszej właścicielki i dołączyła do swej kolekcji w wypożyczalni. Nie zamierzała jednak przypominać o tym szczęśliwej matce panny młodej.

Pani Donahue wciągnęła powietrze w płuca i omiatając wzrokiem rzędy ściśniętych na wieszakach ubrań, powiedziała:

- Chciałabym tylko...

- ...zatrzymać ją na zawsze? - dokończyła za nią Rose. - Oczywiście, jest na sprzedaż - zauważyła z życzliwym uśmiechem. Suknia była droga i Rose wiedziała, że kobieta jej nie kupi. A poza tym sama nie wiedziała, czy potrafiłaby się z tą suknią rozstać...

- Wiem. - Pani Donahue, odsunęła plastikową torbę od piersi i z zalem podała ją Rose. - Moja córka nie ma w sobie ani krzty sentymentalizmu - ciągnęła. - Ja nadal przechowuję swoją ślubną suknię... Ale, oczywiście, Stephanie jest ode mnie o wiele wyższa i nie mogła jej włożyć.

- Zostanie jej welon, który specjalnie dla niej pani uszyła - zauważyła uprzejmie Rose, wieszając suknię na metalowym pręcie. - Będzie miała uroczą pamiątkę.

- Oczywiście, ma pani rację. - Twarz pani Donahue rozpromieniła się. - Mężczyźni przecież od lat pożyczają smokingi, nieprawdaż?

Pani Dunahue nie była pierwszą matką panny młodej, która trafiła do „Zaka-

ka Rose" - wypożyczalni a zarazem sklepu z używaną odzieżą, mieszczącego się w Rice Village, jednej z dzielnic Houston. Niektóre z nich z początku przerażała myśl, że ich córki wystąpią w używanej sukni ślubnej, przekonały się jednak, że Rose Franklin miała u siebie tylko wytworne stroje. Córka pani Donahue wypożyczyła nie tylko suknię dla siebie, ale także przepiękne, barwne kreacje dla swych druhen. Młode dziewczyny wyglądały w nich jak dobre wróżki u boku panny młodej poślubiającej swego księcia z bajki.

Rose uśmiechnęła się do siebie w zadumie, potem zaś otworzyła torbę, by sprawdzić stan sukni. Mimo że materiał był doskonałej jakości, po każdym użyciu trzeba było wzmacniać szwy oraz uzupełniać zgubione perełki zdobiące gors.

- Jest taka piękna - westchnęła pani Donahue, pomagając rozłożyć suknię.

- Tak - przyznała Rose.

Lekki zapach kwiatowych perfum Stephanie rozszedł się w powietrzu. Jak zwykle ślady szminki na ramionach świadczyły o uściskach, jakie otrzymywała panna młoda.

Rose przymknęła oczy, wyobrażając sobie tę chwilę...

Początkowo, kiedy kupiła suknię od właścicielki, zatrzymała ją z myślą o własnym ślubie. Nigdy nie nosiła rzeczy ze swojego sklepu, jednak dla tej jednej wytwornej kreacji chętnie zrobiłaby wyjątek.

Od pierwszej chwili marzyła, że w tej właśnie sukni pójdzie wzdłuż nawy kościelnej na spotkanie swego oblubieńca. Spotykała się wtedy z właścicielem księgarni znajdującej się trzy domy dalej od „Zakątka Rose”. To śmieszne, ale właśnie z powodu tej sukni zdała sobie sprawę, że nie kocha Horacego.

Pewnego popołudnia przyłapał ją, jak mierzyła suknię i przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, śniła na jawie. Horacemu suknia się nie spodobała; uznał, że jest zbyt przeładowana ozdobami. W ogóle uważał, że wiele rzeczy, które sprzedawała w sklepie, było zbyt ozdobnych. Twierdził, że to świadectwo jej dekadencjonalnych gustów. Tamtego dnia, gdy patrzyła na jego zaciętą, ponurą minę, zrozumiała,

że marząc o ślubie, nigdy nie wyobrażała go sobie w roli pana młodego.

Horacy nie był w stanie docenić wyszywanej perełkami koronki ani imponującego trenu, Rose zaś wiedziała, że tak długo będzie szukać, aż znajdzie mężczyznę, któremu się to spodoba.

I nadal oddawała się marzeniom, podczas gdy inne panny młode przywdziewały jej ulubioną suknię.

Podniosła wyszywaną koronkę do góry i rozłożyła tren. Na pierwszy rzut oka nie zauważyła śladów łez ani innych plam. Odprężyła się. Kolejny raz suknia bezpiecznie wróciła do jej rąk.

- Pomóc pani przynieść suknie druhen? - spytała panią Donahue, która ukradkiem wycierała wilgotne oczy.

Gdy ta przytaknęła, wyszły razem przed sklep na kwietniowe słońce.

- Zastanawiam się, jak Stephanie panią tutaj znalazła - mówiła pani Donahue, otwierając drzwi samochodu. - W ogóle nie wjechałabym w tę uliczkę. Myślałam, że tu są same domy mieszkalne.

Rose sięgnęła na tylne siedzenie po szeleszczące taftowe suknie i cienkie halki.

- Kiedyś tak było. - Rose nadal mieszkała w tylnej części starego domu z szarego kamienia, w którym od frontu znajdował się sklep. - Ale teraz jesteśmy już częścią Village. - Rice Village było uroczą dzielnicą Houston, tonącą w cieniu wiekowych dębów i ukwieconą azaliami.

- Dość peryferyjną - skwitowała pani Donahue.

Głos jej dobiegł do Rose spoza otwartej klapy bagażnika.

- Niezupełnie - zaprzeczyła. - Tuż obok znajdują się dwa sklepy z antykami, fotograf i księgarnia. - Trzymając w ramionach suknie, biodrem zatrzasnęła drzwiczki samochodu. - A wkrótce naprzeciwko zainstaluje się dekorator wnętrz.

Pani Donahue zatrzasnęła bagażnik i podniosła z ziemi kartonowe pudło, w którym znajdowały się kapelusze i rękawiczki druhen.

- Pani sklepik jest uroczy - powiedziała do Rose, która nogą przytrzymała jej drzwi. - Chciałam tylko zauważyć, że znajduje się na uboczu. Powinna go pani reklamować.

- Reklama kosztuje - stwierdziła Rose, kładąc rzeczy na wiktoriańskiej, obitej aksamitem kanapie. - Ludzie jakoś tutaj trafiają. - Odnalazła pokwitowanie i przeczytała: - Jeszcze cztery pary rękawiczek, cztery kapelusiki i cztery kołnierzyki z pereł.

Pani Donahue najpierw wyjęła z pudła kapelusze.

- Pamiętam jeszcze czasy, gdy wszystkie takie nosiłyśmy - westchnęła. - Teraz uchodzą za staroświeckie. A ja przecież nie czuję się staroświecka!

Rose z uśmiechem na ustach skreśliła z listy kapelusze, a potem zaczęła układać w pary rękawiczki.

- A to, co to jest? - Pod rękawiczkami leżał brązowy, skórzany notes. - To terminarz - odpowiedziała sama sobie, rozpoznając grubszą, bardziej obszerną wersję notesu. - Należy do pani? - spytała, podając notes pani Donahue.

- Nie. - Pani Donahue potrząsnęła głową.

Skórzana oprawa notesu, lekko zniszczona, nosiła wyraźne ślady używania.

- Założę się, że właściciel bardzo się denerwuje - powiedziała Rose, otwierając terminarz. Wypadły z niego kartki papieru i wizytówki. Włożyła je na miejsce i otworzyła notes na pierwszej stronie. - Duncan Burke...? - odczytała nazwisko z laminowanej wizytówki i obietnicę nagrody dla uczciwego znalazcy.

- Och, Duncan! - Pani Donahue skrzywiła twarz. - Był jednym z drużbów. Przez cały czas się kręcił, wychodził z przyjęcia, żeby zadzwonić. Myślałam, że nigdy go nie złapiemy, by zrobić wspólną fotografię.

- Na wizytówce widnieje napis: „Agencja Reklamowa Burke'a i Bernarda”. Adres w drogiej dzielnicy Galleria.

Pani Donahue zerknęła na wizytówkę.

- Alan, mój zięć, wspominał, że Duncan pracuje w reklamie, ale nie wiedzia-

łam, że ma własną agencję - powiedziała. - Przez cały czas przepraszał nas, że ciągle wchodzi i wychodzi, ale prawdę mówiąc, myślałam, że usiłuje zrobić wrażenie na przyjaciółkach. - Pani Duncan zerknęła na zegarek. - Nie mam pojęcia, kiedy mu to zwrócę... - westchnęła. - Jestem umówiona na lunch z przyjezdnymi gośćmi, a potem odwożę kuzynkę na lotnisko.

- Za chwilę jadę do pralni - powiedziała Rose, biorąc notes z powrotem. - Mogę go oddać po drodze. - Uśmiechnęła się szeroko. - A w nagrodę może dostanę kilka rad dotyczących reklamy.

Pani Donahue miała rację. Rose potrzebowała reklamy. Nie zamierzała odbierać obiecanej nagrody, ale miała nadzieję, że pan Burke z wdzięczności udzieli jej kilku cennych wskazówek, jak najlepiej wykorzystać skromny budżet, który mogła przeznaczyć na reklamę.

- Jest pani pewna, że to po drodze? - spytała pani Donahue z wyrazem ulgi na twarzy.

- Żaden problem. - Rose odłożyła terminarz na bok i gestem wskazała na pudło. - Przeliczmy teraz rękawiczki...

Gdy pani Donahue wyszła, Rose zajęła się umacnianiem pętelek przy guzikach znajdujących się w pasie. Raz po raz zerkała w stronę drzwi. Przez dwie godziny, podczas których pracowała przy sukni, przed sklepem nie zatrzymał się ani jeden samochód. Być może pod wpływem uwag pani Donahue oraz perspektywy rozmowy z Duncanem Burke'em, nagle zdała sobie sprawę z braku klientów. To prawda, że zbliżał się sezon balów maturalnych i letnich przyjęć - okres najbardziej zyskowny dla Rose. Ale w sklepie była też garderoba na inne okazje i pory roku. Kostiumy z najprzedniejszych kolekcji i zimowe płaszcze wisiały pod jedną ze ścian; sukienki, spódnice i swetry pod inną. Kapelusze, paski i torby zawieszono na drewnianych kołkach. W szklanych naczyniach lśniła sztuczna biżuteria. W „Zakątku Rose” mogła znaleźć wszystko kobieta światowa, prowadząca życie ekscytujące i pełne wrażeń.

Takie życie, o jakim marzyła Rose...

Poczekwała do dwunastej, do przyjścia Connie Byrd, jej pomocnicy. Connie studiowała na Uniwersytecie Rice i w „Zakątku Rose” pracowała na pół etatu.

- Dużo dziś było klientów? - spytała Connie, rzucając na ladę stos skryptów. - Muszę przygotować się do testu na piątek.

- Rano było spokojnie - odparła Rose z nie ukrywanym żalem. - Matka Stephanie zwróciła suknie i wybieram się z nimi do pralni.

- Trzeba coś zreperować? - Connie już otworzyła książki.

- Już to zrobiłam. - Rose zebrała wszystkie suknie. - Muszę jeszcze gdzieś wstąpić, pewnie mi to zajmie całe popołudnie. Poradzisz sobie sama?

- Oczywiście. - Connie pomachała ręką na pożegnanie.

Rose zawahała się w drzwiach.

- Ale pamiętaj, żeby klienci wypełnili formularz, nim wypożyczą garderobę...

- Wiem, wiem... - mruknęła Connie, przerzucając kartki zeszytu. - I pamiętam, żeby go podpisali. Drugi raz nie popełnię tego samego błędu.

Kiedyś przez nieuwagę Connie, Rose straciła drogą wieczorową kreację. Ale ponieważ była pojętną uczennicą, zrozumiała swój błąd i w gruncie rzeczy można było na niej polegać. A, co najważniejsze, nie żądała dużej zapłaty.

Godzinę później Rose skręcała w zjazd prowadzący do luksusowej dzielnicy - Gallerii.

Hałaśliwa, błyszcząca szkłem i metalem dzielnica kontrastowała z senną atmosferą Village, gdzie Rose mieszkała i pracowała. Na ulicach panował ruch i gwar; tysiące urzędników i ekspedientów wracało o tej porze z lunchu w jednej z modnych tutejszych restauracji. Na parkingach przed sklepami tłoczyło się mnóstwo samochodów. Rose przyglądała się temu z niemą zazdrością. Przed jej sklepikiem nawet skromne trzy miejsca parkingowe nigdy nie były zajęte...

To się musi zmienić, postanowiła, skręcając w Post Oak. Duncan Burke, wdzięczny za zwrot notesu, z pewnością nie odmówi jej chwili rozmowy.

W pokrytych taflami szkła ścianach biurowców odbijało się słońce, utrudniając Rose odczytanie adresu. Wreszcie znalazła właściwy numer i skręciła do najbliższego podziemnego parkingu.

Gdy pchnęła ciężkie, szklane drzwi do budynku, wzrok jej zatrzymał się na elegancko ubranych ludziach, czekających na windy. Z miejsca pożałowała, że nie ubrała się starannie. W zwykłej dżinsowej spódnicy i pikowanej kamizelce, z rozwianymi włosami i parcianym workiem, zamiast torby, zdecydowanie nie pasowała do tego miejsca.

Trochę zażenowana podeszła do tablicy informacyjnej. Przemknęło jej przez głowę, by pozostawić notes w recepcji budynku i czmychnąć stąd jak zając. Górę wzięła jednak wrodzona odwaga. Odnalazła biuro Burke'a i Bernarda, wyprostowała ramiona i śmiało weszła do windy.

Okazało się, że Burke i Bernard wynajmują całe piętro. Całe piętro w biurowcu położonym w sercu Houston - w Gallerii! Ta agencja naprawdę musiała odnosić sukcesy...

Rose głęboko wciągnęła w płuca powietrze i otworzyła drzwi do sekretariatu Duncana Burke'a.

- Nazywam się Rose Franklin - powiedziała. - Chciałabym zobaczyć się z panem Burke'em.

Siedząca za biurkiem blondynka z profesjonalnym uśmiechem na uszmiłkowanych ustach sięgnęła po terminarz spotkań swego szefa.

- Czy pan Burke pani oczekuje?

Rose przyglądała się, jak sekretarka wypielegnowanymi palcami otwiera terminarz. Należało się spodziewać, że Duncan Burke był człowiekiem bardzo zajęтым... Dlaczego nie wpadła na pomysł, by najpierw zatelefonować?

- Nie - odpowiedziała po namyśle Rose. - Przejeżdżałam tędy i miałam nadzieję, że pan Burke znajdzie dla mnie chwilę czasu.

- W jakiej sprawie?

Nie mogła powiedzieć prawdy. Sekretarka niewątpliwie zaproponowałaby, że sama zwróci notes. Skoro już przedarła się przez miasto, znalazła miejsce na parkingu i pozostawiła sklep w niedoświadczonych rękach studentki - miała prawo spotkać się twarzą w twarz z Duncanem Burke'em.

- W sprawie ślubu Stephanie Donahue - powiedziała. - To była pierwsza rzecz, jaka przyszła jej na myśl.

- Rozumiem, sprawa osobista. - Wyjaśnienie chyba zadowoliło sekretarkę, ponieważ pospiesznie zaczęła wertować terminarz. - Teraz pan Burke przyjmuje klientów... Za kwadrans jest z kimś umówiony, więc spotkanie powinno się, niebawem skończyć. Jeśli zechciałaby pani poczekać, może panią przyjmie?

- Doskonale. Poczekaam. - Mruczając pod nosem „dziękuję”, Rose wycofała się w stronę poczekalni.

Z ulgą opadła na pluszowy fotel. Co ona tu właściwie robi? Powinna zostawić notes u sekretarki i wracać do „Zakątka Rose”. Albo wysłać ten głupi notes pocztą. Anonimowo.

Tak właśnie powinna postąpić. Ten człowiek był niewiarygodnie zajęty, kierując takim gigantycznym przedsiębiorstwem. Na ścianach holu wisiały ogromne plakaty przypominające wiodące kampanie reklamowe. Rose знаła je wszystkie, co wymownie świadczyło o efektywności działań agencji Burke'a i Bernarda.

A ona, naiwna, chciała od takiego człowieka uzyskać kilka darmowych porad! Ze wstydu omal nie zapadła się pod ziemię.

Przeszkodziły jej w tym dwie młode kobiety ubrane w eleganckie kostiumy, które właśnie weszły przez szklane drzwi, skinęły głową sekretarce, po czym usiadły obok telefonu, dokładnie pomiędzy Rose a drzwiami do gabinetu.

Jedna z kobiet zdjęła z ucha klips, po czym złotym długopisem wystukała numer na klawiaturze aparatu. Skrzyżowała nogi, pokazując drogie, skórzane pantofle i opalizujące rajstopy. Druga kobieta wyjęła z teczki papiery, a gdy tylko jej towarzyszka skończyła rozmowę, pochyliła się ku niej, by podzielić się jakimiś

uwagami.

Rose, udając, że czyta ilustrowany magazyn poświęcony reklamie, ukradkiem wsunęła swą parcianą torbę pod spódnicę. Och, chciała jak najszybciej stąd uciec!

Do biura wszedł goniec z plikiem papierów. Sekretarka pokwitowała odbiór, coś zanotowała, po czym wyszła zza biurka i podążyła korytarzem.

Teraz. Teraz pojawiła się szansa ucieczki. Gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi i męskie głosy, skoczyła na równe nogi i postąpiła krok do przodu, zapominając o torebce. Pasek zaplątał się jej wokół stopy i straciła cenne sekundy, by się od niego uwolnić.

Męskie głosy stawały się coraz głośniejsze; raz po raz przerywał je wybuch gromkiego śmiechu.

- A więc gramy w czwartek w tenisa, Duncan?

Rose bezwiednie uniosła wzrok, poszukując mężczyzny o imieniu Duncan.

Przy drzwiach stało ich czterech; jeden z nich był w samej koszuli, której biel mocno kontrastowała z szarością i granatem garniturów dwóch pozostałych mężczyzn.

- Zamówiłem już kort na wpół do piątej - powiedział, wyciągając rękę.

A więc ten w koszuli, to był Duncan Burke!

O Boże... Rose miała wrażenie, że wszystko wokół zbladło i zszarzało pod magicznym wpływem oślepiającej bieli koszuli Duncana Burke'a. Mogłaby przysiąc, że słyszy anielski chór wyśpiewujący jego imię i nazwisko na cztery głosy. Duncan Burke! Duncan Burke...

Gdy uśmiechając się, wymieniał uściski dłoni ze swymi gośćmi, Rose przysłoniła oczy, jakby spoglądała w słońce.

Nie, tego było stanowczo za wiele... Kościste policzki, dołek w podbródku, czarne włosy i ciemnoniebieskie oczy! Jeden kosmyk włosów oddzielił się od reszty i w zawadiacki sposób opadał mu na czoło. Do tego imponujący wzrost, ramiona, brzuch, a raczej brak brzucha... I ten głęboki, niski, chropawy głos!

Rose Franklin znalazła swój ideał mężczyzny. Oto stał przed nią. Ten jeden jedyny mężczyzna wart wyszywanej perełkami sukni ślubnej w rozmiarze ósmym, z trochę znoszonym, ale nadal olśniewającym trenem.

Właściwie Rose nie miała już pewności, czy suknia była warta takiego mężczyzny...

Na chwilę zapomniała, gdzie się znajduje i po co tu przyszła. Opętało ją pragnienie wejścia w krąg światła, które ten mężczyzna roztaczał i... pozostania tam na zawsze.

Duncan odprowadził dwóch mężczyzn do windy. Rose jak urzeczona śledziła każdy jego ruch. Nagle odwrócił się na pięcie i zaczął iść prosto w jej kierunku.

Oczywiście, on również musiał wyczuć tę niezwykłą siłę przyciągania... Takie było przeznaczenie. Rose podziękowała w duchu za cud i czekała, aż weźmie ją w ramiona.

Tymczasem Duncan otworzył szklane drzwi.

- Trisha, Mary Lynn! Przepraszam, że musiałyście czekać.

- Przyszliśmy trochę wcześniej. - Obie kobiety wstały.

Rose stała również, cała drżąc.

- Podjęliśmy już decyzję - odezwała się ta z teczką, przechodząc obok Rose.

Duncan mruknął coś pod nosem, obrzucając Rose przelotnym, pytającym spojrzeniem.

Straciła władzę w kolanach. Jedynie to mogło wytłumaczyć fakt, że ponownie potknęła się o własną torbę.

Gdy usiłowała złapać równowagę, upuściła skórzany terminarz. W tej samej chwili poczuła, jak czyjeś mocne ramiona chwytają ją w talii. To były ramiona Duncana.

Gdy podniosła wzrok, okazało się, że najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego można było sobie wyobrazić, pochylał się nad nią. W jego ciemnoniebieskich oczach widniał niepokój, a jego doskonale wykrojone wargi były lekko rozchylone.

Rose zamknęła oczy, by kontemplować ten cudowny sen.

- Dobrze się pani czuje? - Duncan puścił jej talię.

Nagle pozbawiona oparcia, zachwiała się na nogach.

- Tak - wybełkotała z szeroko otwartymi oczyma.

Duncan pochylił się i podniósł z podłogi notes. Swoją własny notes!

- Radzę dobrze pilnować - powiedział, oddając go. - Niedawno podobny zgubiłem i teraz ledwie mogę funkcjonować.

Rose nie była w stanie wydobyć głosu. Patrzyła tylko na niego w osłupieniu.

Duncan uśmiechnął się lekko, po czym odszedł razem z dwiema kobietami.

Nie odchodź! - chciała za nim zawołać. - Nawet nie chcesz wiedzieć, jak się nazywam?!

Patrzyła za nim, jak prowadził kobiety w głąb korytarza. Nie odwrócił się ani razu.

Rose stała jak słup soli, aż do powrotu sekretarki.

- Nie spotkała pani pana Burke'a? - zdziwiła się blondynka, zerkając wymownie na korytarz, a potem na Rose.

- Ja... - Rose umilkła, zdając sobie nagle sprawę, że kurczowo ścisnęła w dłoniach notes. Zupełnie o nim zapomniała. Ale wcale nie chciała się z nim rozstać. Nie zamierzała go oddać, zanim Duncan Burke nie obdarzy jej niepodzielną uwagą.

- Może go jednak poproszę? - Sekretarka sięgnęła po słuchawkę.

- Nie! - Rose chwyciła swoją torbę i pełna poczucia winy schowała do niej notes. - Już rozmawialiśmy - skłamała.

Gdy dzwonek telefonu rozproszył uwagę sekretarki, szybko wyslizgnęła się za drzwi.

Wrócę tu! - postanowiła.

Ale następnym razem będę tak elegancka i pełna wdzięku, że Duncan Burke nie odstąpi mnie na krok!

ROZDZIAŁ DRUGI

Rose wróciła do sklepu oszołomiona, nadal przyciskając do piersi notes w skórzanej oprawie. Wślizgnęła się tylnym wejściem i od razu poszła do maleńkiego kantorku pod schodami.

- Dobrze, że już jesteś, Rose! - powitała ją Connie.

- Mam tu trochę papierkowej roboty - odpowiedziała Rose, zdumiona, że głos jej brzmi tak naturalnie, w chwili gdy cały świat wywrócił jej się do góry nogami.

Po chwili zadumy odsunęła kwity na bok i położyła przed sobą na biurku terminarz.

Jasnobrązową skórę przecinały rysy, brzegi zaś, mocno wytarte, przybrały kolor kawy z mlekiem. Rose przesunęła paznokciem wzdłuż rysy, po czym oparłszy ręce na łokciach, a podbródek na dłoniach, wpatrywała się w zamknięty na suwak terminarz, skrywający tajemnice życia Duncana Burke'a.

Było to życie aktywne, pełne różnorodnych zajęć. Wiedziała to bez zaglądania do notesu. I wiódł je w eleganckim świecie, otoczony dynamicznymi, atrakcyjnymi ludźmi.

Duncan Burke czerpał z życia pełnymi garściami, Rose Franklin zaś pozostawała okruchy...

Bezmyślnie wpatrywała się w pękaty notes. Duncan Burke należał do ludzi, którzy potrafili naginać życie do własnych potrzeb, Rose natomiast biernie czekała, co życie jej przyniesie...

Ale ono nie przyniosło nic ciekawego, aż do dzisiejszego poranka, gdy znalazła terminarz, który zaprowadził ją do Duncana Burke'a...

To był znak. Rose doczekała się życiowej szansy. Mogła ją zaprzepaścić - pozostawiając notes u recepcjonistki, ale mogła również zapukać do drzwi Duncana i sprawdzić, czy ją wpuści...

A bardzo chciała dostać się do środka!

Przyłożyła notes do policzka i głęboko wciągnęła powietrze. Oczywiście, poczuła zapach skóry, ale było jeszcze coś... Czosnek. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie oficjalne lunche we włoskiej restauracji. Słodki zapach piżma... Może była to woda po goleniu, może ślad kobiecych perfum...? Orzeźwiający zapach mięty i - zmarszczyła nos - wyraźny zapach... szatni. Były tam również papierosy i coś trudnego do zdefiniowania, co - Rose doszła do wniosku - mogło być zapachem samego Duncana.

Pomyślała, że to dobry los zesłał jej ten notes. Czyż mogła działać wbrew przeznaczeniu?

Czytanie prywatnych zapisków Duncana będzie ingerencją w czyjąś prywatność. To było nieuczciwe, ale konieczne, jeśli chciała się dowiedzieć czegoś więcej. Postanowiła potraktować notes jak przewodnik po nieznanym świecie - świecie Duncana.

Wychylając się zza biurka, aby sprawdzić, co porabia Connie, Rose ostrożnie otworzyła terminarz. Czekwała, aż ogarnie ją poczucie winy, ale nic podobnego się nie działo. Uśmiechnęła się lekko. A więc słusznie podejrzewała, że było to przeznaczenie.

Paczka gumy do żucia zatknięta w przegródce na wizytówki wyjaśniła zagadkę miętowego zapachu. Niewiele myśląc, Rose zanotowała na kartce nazwę firmy i smak. O wiele szybciej i wygodniej byłoby zrobić fotokopie notesu, ale zdawała sobie sprawę, że to byłoby nie fair.

Najpierw przeczytała tygodniowy rozkład zajęć Duncana. Począwszy od stycznia, odnotowywał wszystkie spotkania, zarówno służbowe, jak osobiste. Co prawda, miał irytujący zwyczaj posługiwania się inicjałami, ale Rose i tak wszystko pilnie przepisała.

Po dwóch godzinach pracy miała jasny obraz codziennego życia i zwyczajów Duncana Burke'a.

Dowiedziała się, że preferował włoską kuchnię i miał dwie ulubione restaura-

cje. Ćwiczył mięśnie w ekskluzywnym Texan Health Club i miał tam na stałe wynajęty kort. Rose poznała jego mechanika, dentystę, lekarza, kwiaciarnię, w której zwykle zamawiał kwiaty, adres jego rodziców i, oczywiście, jego prywatny adres.

Właściwie jedynym intymnym szczegółem życia, którego nie poznała, był stan jego konta. Celowo unikała stron zatytułowanych „Finanse”. Aby stać się częścią życia Duncana Burke'a nie potrzebowała informacji o jego interesach.

Wyciągnęła ramiona nad głową, pomasowała kark i odchyliła się na krześle. Teraz musiała tylko znaleźć coś do ubrania - coś odpowiedniego na spotkanie z Duncanem.

Gdy stojący antyczny zegar wybił godzinę trzecią trzydzieści, Rose weszła do sklepu i od razu skierowała się do wieszaków z sukniami. Musiała się pospieszyć, jeśli chciała zastać Duncana w pracy.

- Czego szukasz? - zaciekawiła się Connie.
- Odpowiedniego stroju na spotkanie... - odparła wymijająco.
- Jakie spotkanie? - Connie nie dawała za wygraną.
- Bardzo ważne.
- W takim razie kostium - zawyrokowała Connie.

Rose stanęły przed oczyma eleganckie kobiety, które przyszły na spotkanie z Duncanem. Tak, Connie miała rację. Podeszła do wieszaka z szarymi i granatowymi kostiumami.

- Czy to zaproszenie na lunch?

Zatrzymała się z ręką na wieszaku. Nim przejedzie przez zatłoczone miasto i dotrze do biura Duncana, będzie bardzo późno. Prawdopodobnie nie zastanie go już w pracy... Ale jeśli pojedzie tam jutro rano, może rzeczywiście zostanie zaproszona do jakiejś modnej, włoskiej restauracji?

- Być może - mruknęła pod nosem.

Myśl o lunchu z Duncanem podniecała, a zarazem przerażała.

- Z kobietą czy mężczyzną? - dopytywała się Connie.

Rose, która przymierzała właśnie surowy w kroju, granatowy kostium, nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Spotykasz się z kobietą czy z mężczyzną? - dopytywała się Connie.

- Z mężczyzną i... kobietą - odparła z wahaniem, przywodząc na myśl budzącą strach sekretarkę Duncana.

Connie zdecydowanym ruchem wskazała wieszak ze strojami pochodzącymi z garderoby kobiety należącej do najwyższych sfer towarzyskich Houston.

- Potrzebny ci jeden z tych kostiumów - powiedziała.

- Wiesz, że nie można ich pożyczać - odparła Rose. - Są na sprzedaż.

- Już były noszone. Jeszcze jeden raz nie zrobi żadnej różnicy. - Connie zsunęła się ze stojącego za ladą stołka i podeszła do wieszaka z barwnymi kostiumami.

- Co to za spotkanie?

Spotkanie z przeznaczeniem... Rose przełknęła ślinę.

- Och, pomyślałam, że przydałoby nam się trochę reklamy - powiedziała obojętnie. - Pani Donahue podała mi nazwisko przyjaciela swego zięcia, który pracuje w reklamie... - Jakże zadziwiająco śliska mogła być prawda!

- W takim razie potrzebujesz czegoś o zdecydowanym wyrazie - stwierdziła Connie, zdejmując z wieszaka czerwony kostium z wełnianej krepy.

Rose nie wyobrażała sobie siebie w tym kostiumie; niezbyt wierzyła, że strój ten doda jej siły i pewności siebie.

- Jest zbyt wyzywający - zaprotestowała.

- Kobiety też tam będą? - spytała Connie, sięgając po następną plastikową torbę. - Co sądzisz o tym?

- Nie mogę go założyć. - Rose przesunęła wzrokiem po jasnoniebieskim bouclé. - Jest o wiele za krótki... A poza tym o wiele za drogi.

- Oczywiście, że jest drogi. Przecież to Chanel! - Connie z szacunkiem podała jej kostium. - Wystarczy spojrzeć na te małe znaczki na guzikach. Przymierz! - Narzuciła jej żakiet na ramiona.

- Ale on należy do pani Larchwood. - Rose bezradnie potrząsała głową.

- Wisi u nas od półtora roku - przekonywała Connie. - Jeśli nie zgodzi się na przecenę, nigdy go nie sprzedamy za dziewięćset dolarów!

- Nie powinnam... - broniła się jeszcze Rose, ale posłusznie wsunęła ręce w rękawy.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego pani Larchwood już go nie chciała nosić - zdziwiła się Connie.

Rose zapięła zakiet; był bardzo obcisły, ale i tak nie zamierzała wkładać pod niego bluzki.

- Dlatego że ubiegłej wiosny był na okładce wszystkich magazynów mody - wyjaśniła. - Zanim pani Larchwood zaczęła go nosić, już się opatrzył. A poza tym, Carolina Markham miała identyczny, tylko w żółtym kolorze. I pokazały się w nich na tym samym przyjęciu.

- Być może - odparła z powątpiewaniem Connie. - Niemniej to nadal wspaniały kostium. Włóż spódnicę - ponagliła.

Rose schowała się za parawan, zdjęła dżinsową spódnicę i włożyła krótką bouclé, która bardzo wysoko odsłaniała nogi. Popatrzyła na siebie z dezaprobatą.

- Wspaniale! - Connie wsunęła głowę za parawan.

- No, nie jestem pewna... - Rose doszła do wniosku, że mimo markowego kostiumu, wcale nie wyglądała tak sztywnie jak owe dwie kobiety spotkane w biurze Duncana. - Nie uważasz, że jest zbyt obcisła? - spytała. Po luźnych, marszczonych spódnicach, które nosiła, czuła się prawie obnażona.

- Wcale nie! - zapewniła z entuzjazmem Connie. - Masz wspaniałą figurę i powinnaś ją eksponować.

- Ale coś tu nie gra. - Rose nadal nie była przekonana.

- Ponieważ jeszcze nie włożyłaś pantofli. - Connie podeszła do stoiska z dodatkami. - Musisz starannie dobrać obuwie, torebkę i klipsy. - Zanurzyła rękę w pudle z biżuterią i wyciągnęła parę skromnych, złotych klipsów. - Te będą odpo-

wiednie - zdecydowała.

Nadal jednak coś nie pasowało.

- To włosy - zawyrokowała w końcu Connie.

- A co w nich złego? - zdziwiła się Rose, ale bezwiednie odgarnęła je za uszy.

- Może powinnam je związać? - spytała z wahaniem.

- Och, nie! Po prostu trzeba je trochę przyciąć. Zadzwoń do Marka...

- Nie! - zaprotestowała Rose z ożywieniem. - To... to za duży kłopot. Po prostu ubiorę się inaczej.

Mark Muloł, chłopak Connie, był początkującym fryzjerem, który terminował w Village. Między innymi dlatego Connie pracowała u Rose. Ale ponieważ Mark preferował fryzury awangardowe, miał pewne problemy ze znalezieniem stałej klienteli.

- Och, Rose, proszę. Wiem, że Mark mógłby cię przyjąć.

Ignorując dalsze protesty Rose, wykręciła numer telefonu. Rose z determinacją odwiesiła kostium. Trudno, z pewnością urazi Connie... Ale naprawdę nie zamierzała powierzyć swoich włosów rękóm ekstrawaganckiego Marka Muloła.

Rose siedziała na plastikowym krześle, z ortalionową narzutką zawiązaną wokół szyi.

- Myślałam, że niewielkie podcięcie... - zaczęła.

- Ona włoży to! - przerwała jej brutalnie Connie, demonstrując jasnoniebieski kostium. - Popatrz tylko, Mark!

- Czy to naprawdę Chanel? - Mark z nabożną czcią dotknął ozdobnego guzika.

- Myślałam tylko o podcięciu - powtórzyła nieśmiało Rose, z desperacją spoglądając na fryzjera.

- Taki strój wymaga czegoś więcej niż zwykłego podcięcia - zawyrokował Mark, rozczesując Rose włosy.

- To musi być wystrzałowa fryzura - dodała pospiesznie Connie.

Przerażona tym, co Mark może rozumieć pod pojęciem „wystrzałowa”, Rose zdecydowała się na kompromis.

- Może kilka pasemek blond...? - wtrąciła niepewnie, a gdy spostrzegła błysk entuzjazmu w oczach fryzjera, poprawiła się pospiesznie: - Może raczej złotawych? Tak. Lepiej złotobrazowych. I tylko kilka pasemek... A właściwie cieni, zmieniających nieznacznie obecny kolor.

- Och, Rose! - Connie klasnęła w dłonie. - Wyglądasz rewelacyjnie!

- Ale... jestem teraz blondynką! - Rose przyglądała się z niedowierzaniem swemu odbiciu w lustrze.

W jej włosach więcej było jasnych pasemek niż własnego koloru.

- Podoba ci się? - Mark pochylał się nad nią z uśmiechem. Specjalnie przyjechał dziś rano do sklepu, żeby dokonać ostatnich poprawek.

- Są blond... - powtórzyła zakłopotana.

- Powiedziałaś, że mają być blond.

- Tylko raz - broniła się. - Potem kilkakrotnie powtarzałam, że mają być brązowe.

- Tylko spójrz! - Mark zerwał plastikową osłonę z jej szyi. - Ten kostium aż się prosi o blond.

- W ogóle nie jestem do siebie podobna. - Rose zbierało się na płacz.

Oczywiście, nie była do siebie podobna, ponieważ nie założyła okularów. W okularach wyglądała znacznie gorzej, każdy to widział.

- Myślałam, że nie chcesz być podobna do siebie! - zawołała Connie.

Rose obserwowała w lustrze, jak jej pracownica wymienia z Markiem ukradkowe spojrzenia. To prawda, że Rose sama wspomniała o zmianie koloru... Zauważyła, że jej złotawe kosmyki lśnią w świetle porannego słońca. Natomiast jej naturalne brązowe włosy nigdy tak nie lśniły...

- Być może nie zdążyłam się jeszcze przyzwycząić do nowego koloru - powiedziała, uśmiechając się do Marka.

Mark odwzajemnił uśmiech i spryskał jej głowę lakierem.

- Teraz się nie poruszają. - Rose potrząsnęła głową, aby to zademonstrować.

- Nie chcemy, żeby się poruszały - stwierdził Mark autorytatywnie. - Sztywna fryzura komponuje się z linią kostiumu. - Przesunął dłońmi po załamaniach jej włosów. - Fryzura w stylu Chanel; bardzo elegancka, podobnie jak kostium.

Connie podała jej klipsy. Rose stała przed lustrem i usiłowała spojrzeć na siebie krytycznie.

W tej fryzurze i w mocniejszym makijażu, na który namówiła ją Connie, wyglądała naprawdę elegancko. Wyszukanie elegancko. Nareszcie przypominała kobiety z otoczenia Duncana Burke'a. Uniosła do góry podbródek, gotowa stoczyć bitwę ze wszystkimi sekretarkami na świecie.

- Naprzód, Rose! I wygraj! - powiedziała Connie.

- Zaczekaj! - Mark przeszukiwał kieszenie spodni. - Dam ci kilka swoich wizytówek, na wypadek gdyby ktoś spytał o adres fryzjera.

W drodze do centrum rozważała wszystkie możliwe sposoby zachowania się w obecności Duncana Burke'a. Co prawda, na pierwszy rzut oka wyglądała na pewną siebie, światową kobietę, ale w głębi serca była ciągle tą samą nieśmiałą Rose.

Co będzie, jeśli sekretarka ją rozpozna? Albo jeśli nie zastanie Duncana?

Rose mocniej chwyciła kierownicę. Jakoś to będzie. Musi być. Ten sam los, który postawił go na jej drodze, dopilnuje, by się spotkali... I żadna nadęta sekretarka nie stanie pomiędzy Rose Franklin a jej przeznaczeniem!

Weszła do biura Burke'a i Bernarda z pełnym determinacji uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Za biurkiem siedziała ta sama sekretarka.

- Czy mogę pani pomóc? - spytała, nim Rose podeszła wystarczająco blisko, by mogła rozpoznać guziki od jej kostiumu.

- Nie jestem umówiona z panem Burke'em, ale proszę mi powiedzieć, czy jest

w biurze - wyjaśniła pewnym głosem.

- Kogo mam zaanonsować? - Sekretarka sięgnęła po telefon.

- Rose Franklin. Ale moje nazwisko niewiele mu powie...

Kobieta zawahała się i obrzuciła spojrzeniem Rose; zatrzymała wzrok na guzikach od jej kostiumu.

- Stephanie Donahue i jej matka są moimi klientkami - ciągnęła Rose pełna nadziei, że sekretarka nie spyta o rodzaj interesów, jakie prowadzi. - Duncan był na ślubie Stephanie w ubiegłym tygodniu.

- W jakiej sprawie chce się pani widzieć z panem Burke'em?

- Osobistej. - Rose spojrzała sekretarce prosto w oczy, postanawiając, że pierwsza nie odwróci wzroku.

Zwycięstwo przyszło szybciej, niż oczekiwała.

- Proszę zaczekać.

Młoda kobieta wstała zza biurka i zniknęła w głębi holu. Z pewnością wolała na osobności powiadomić Duncana o tajemniczej - i niezwykle wytwornej - kobiecie czekającej na niego w recepcji.

Rose wolno wypuściła powietrze z płuc. Gładko przeskoczyła pierwszą przeszkodę. W tej chwili najchętniej by usiadła. Obawiała się jednak, że z wrażenia nie będzie mogła wstać, gdy pojawi się Duncan.

Gdy pojawi się Duncan...

Zamknęła oczy, żeby się uspokoić. Gdzie powinna stać? Co robić? Może powinna mieć przy sobie takie akcesoria jak telefon komórkowy albo terminarz...?

Terminarz! Schowała go za siebie, ponieważ nie chciała, by Duncan go zobaczył, nim nie oceni jego reakcji na swoją własną osobę. Sekretarka nie rozpoznała jej, ale Duncan ją widział - naprawdę ją widział! Patrzył jej w oczy. Przepływały między nimi uczucia, jakieś prądy... siła przyciągania... Rose doświadczyła takich emocji, że niepodobna, by Duncan nie czuł nic. A jeśli tak było? A jeśli spojrzy na nią i powie po prostu: „To znowu pani?”.

Nonsens! Własna matka by jej nie poznała.

- Pani Franklin?

Rose gwałtownie otworzyła oczy.

Duncan Burke szedł w jej kierunku, za nim zaś zaciekawiona sekretarka. Włożył marynarkę i teraz ciemny materiał kontrastował z jego białą koszulą.

Wszystko wokół umilkło, gdy słodko brzmiące trąby anielskie oznajmiały jego nadejście. Ciemność rozlała się wokół, ponieważ jedynym światłem w pokoju był blask bijący od Duncana. Raz jeszcze czas stanął w miejscu, a Rose poddała się magicznemu urokowi chwili.

To był ten jeden, jedyny. Naprawdę. On z pewnością również musiał to wiedzieć. Nawet z odległości - mimo że nie założyła okularów - widziała jego niewiarygodnie niebieskie oczy wpatrzone w jej własne. Miała wrażenie, że jakaś niewidzialna siła przyciąga ich ku sobie.

Po chwili stanął naprzeciwko niej, tak blisko, że mogła zauważyć cienie rzucone przez jego rzęsy.

- Jestem Duncan Burke - przedstawił się, jakby tego nie wiedziała.

Uśmiechnął się tym razem tylko do niej, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń w ciepłym, mocnym uścisku.

Rose czuła, jak życiodajna energia wstępuje w jej ciało... i pragnęła, by chwila ta trwała wiecznie.

- Nazywam się Rose Franklin - wyjąkała, niechętnie puszczając jego dłoń. - Przykro mi, że nie spotkaliśmy się na ślubie Stephanie Donahue - powiedziała dokładnie tak, jak to sobie przećwiczyła.

- Również żałuję. - Głos jego docierał do niej niczym łagodna fala odbijająca się od brzegów.

Duncan okrasiał te uprzejme słowa tak ujmującym uśmiechem, że Rose niemal straciła wątek.

- W jakiś sposób to - Rose podniosła do góry terminarz - znalazło się wśród

strojów druchen...

- Mój terminarz! - zawołał radośnie Duncan, wyjmując jej notes z rąk. - Jesteś aniołem!

Nazwał ją aniołem! Rose starała się nie zapomnieć o oddychaniu.

- Nie dawałem sobie bez niego rady - ciągnął, otwierając notes. - O, wszystko jest na swoim miejscu. - Z wyraźną ulgą przetarł dłonią czoło. - Lois, zrób mi szybko fotokopię każdej strony. Nie zamierzam drugi raz narażać się na takie męki.

Lois, sekretarka, popatrzyła na Duncana i Rose, po czym wzięła do ręki terminarz. Rose posłała jej lekki uśmiech, lecz kobieta nie odwzajemniła tego uśmiechu.

Duncan wziął Rose pod ramię.

- Panno Franklin... Rose, czy mogę?

Skinęła głową; uwielbiała sposób, w jaki wypowiadał jej imię.

- Mam niejasne wrażenie - ściągnął brwi - że gdzieś cię już widziałem. Jesteś pewna, że nie poznaliśmy się na ślubie?

- Absolutnie pewna - odparła z przekonaniem.

Zmarszczka między jego ciemnymi brwiami zmniejszyła się.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo jestem szczęśliwy z powodu odzyskania terminarza. Jak go znalazłaś?

- To nie moja zasługa. Pani Donahue znalazła go wśród rzeczy druchen. Ona jest bardzo zajęta, musiała wyjechać z miasta, a ponieważ miałam coś do załatwienia w okolicy, zaproponowałam, że tu wpadnę. - Rose miała zamiar powiedzieć tyle prawdy, ile to było możliwe.

- Czy jesteś przyjaciółką Stephanie? - spytał Duncan.

Naciągnięcie prawdy okazało się konieczne.

- Pracowałam razem z jej matką - powiedziała niepewnie, ale Duncan wybawił ją z kłopotu.

- Och, tak, ona działa w tylu organizacjach charytatywnych. - Duncan potrzą-

snął głową. - Trudno mi uwierzyć, że nie zauważyłem cię na ślubie... - Przyglądał jej się uważnie. - Choć wyglądasz dziwnie znajomo...

- Byłeś ogromnie zajęty - wtrąciła pospiesznie Rose. W żadnym razie nie chciała, by przypomniał sobie, dlaczego wygląda znajomo. - Ślub był uroczy, czyż nie? Zauważyłeś, że panna młoda miała na sobie niezwykle wytworną suknię ślubną?

- Doprawdy? - Wzruszył ramionami. - Dla mnie wszystkie suknie ślubne wyglądają podobnie.

Wspaniałomyślnie wybaczyła mu tę gafę. Nie zauważył sukni ślubnej, ponieważ to nie Rose ją nosiła. Gdy włoży ją dla niego, z pewnością nie będzie mógł oczu do niej oderwać!

- Czy zjesz ze mną lunch? - Spojrzał dyskretnie na zegarek. - Wyratowałam mnie z opresji i chciałbym ci za to podziękować.

- Z przyjemnością. - Ledwie mogła uwierzyć, że wszystko dzieje się na jawie. Owszem, zaaranżowała to spotkanie, ale sam fakt, że plan się powiódł, był niezwykle podniecający. - Poza tym, chciałabym usłyszeć, w jaki sposób twój terminarz zaplątał się w rzeczy drухen. - Zamierzała się roześmiać kokieteryjnie, ale wydała z siebie tylko piskliwy dźwięk i zamilkła.

- Obawiam się, że nie wiąże się z tym nic skandalicznego - powiedział po namyśle. - Korzystałem z telefonu znajdującego się przed garderobą i pewnie zostawiłem terminarz na stoliku. Potem ktoś musiał go zabrać z resztą ślubnych drobiazgów. - Zaśmiał się cicho i napisał coś na kartce na biurku sekretarki. - Na jaką kuchnię masz ochotę?

- Włoską - odparła bez zastanowienia, gotowa nawet zasugerować jedną z jego ulubionych restauracji, jeśli sam by tego nie uczynił.

- Lubisz włoską kuchnię? - Duncan uśmiechnął się szczerze, wziął kartkę i przyczepił ją do tablicy informacyjnej na ścianie. - Znam taką małą restaurację.

Wszystko szło jak z płatka. Zgodnie z planem została zaproszona na lunch.

Będzie miała okazję dłużej z nim porozmawiać i... zafascynować go swoją osobą.

Miała ochotę podskoczyć do góry z radości.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rose odkryła wielką prawdę. Nigdy nie przeżyła większego stresu niż dziś - najpierw przebierając się w wypożyczony kostium Chanel, a teraz... zamawiając *fettuccine* z sosem *marinara*.

Co w nią wstąpiło? Już sama cesarska sałatka z pomidorów, mocno nasączona oliwą, była wystarczająco ciężką próbą. Stanowczo powinna na tym poprzestać. Ale ponieważ Duncan zamówił sałatkę na główne danie, Rose nie chciała siedzieć i patrzeć, jak on je.

Ogromny talerz wypełniały zdradliwe wstążki makaronu, nie mogła więc niepostrzeżenie odsunąć kilku na bok i udawać, że je. Gdyby tak postąpiła, prawdopodobnie cała góra makaronu zsunęłaby się z talerza prosto na śnieżnobiały obrus.

Powinna zamówić lasagne, które można było pokroić widelcem na małe kawałki. Wegetariańskie lasagne byłoby idealne, ale Rose siliła się na oryginalność, a *fettuccine* brzmiało o wiele bardziej oryginalnie niż lasagne.

Duncan zamówił lasagne.

Rose z westchnieniem oddzieliła od reszty jeden zamoczony w sosie klusek i owinęła go wokół widelca. Ale mimo to zwisała zeń długa na kilka centymetrów końcówka.

- Czy coś się stało? - spytał Duncan, wyczuwając jej rosnącą irytację.

Owszem, jedna kropla i zapłacę tysiąc dolarów za ten kostium! - chciała krzyknąć, ale pohamowała się w porę.

- Nie, wszystko świetnie - skłamała. Spojrzała na górę makaronu i próbowała wymyślić coś błyskotliwego do powiedzenia. - Porcje są wyjątkowo duże - dodała. Byle tylko nie pomyślał, że krytykuje wybraną przezeń restaurację!

Duncan nieznacznie uniósł kącik ust.

- Nie poskarżę się twojej mamie, jeśli nie zjesz do końca.

I całe szczęście, ponieważ jej oszczędna matka oburzyłaby się na takie marnotrawstwo. Jej mieszkający na wsi rodzice z całą pewnością nie byłiby w stanie zrozumieć, jakie dziwne siły powodowały ich córką, że włożyła najdroższy kostium ze swego sklepu, ufarbowała włosy i usiłowała zauroczyć mężczyznę siedzącego naprzeciw niej w modnej, włoskiej restauracji. Rose zresztą sama nie rozumiała swego postępowania.

Duncan obserwował ją, pytająco unosząc brwi. Pojęła, że musi natychmiast, z wdziękiem, i nie brudząc sobie zakietu, przenieść *fettuccine* z talerza do ust.

Gdy wreszcie jej się to udało, uśmiechnęła się do Duncana. Odwzajemnił uśmiech i zabrał się z powrotem do jedzenia.

Nadszedł czas, by zaprezentować swą błyskotliwą inteligencję i nieodparty urok. Temat ślubu został definitywnie wyczerpany... Nie mieli wspólnych znajomych...

O czym rozmawiają elegancy, dystyngowani ludzie?

- Jak myślisz, czy Astros mają szansę na zwycięstwo w tym roku? - spytał nieoczekiwanie.

A więc inteligentni, światowi ludzie muszą znać się na baseballu, pomyślała Rose ze smutkiem. Niewiele jednak wiedziała o tej grze.

- Trudno powiedzieć... - zaczęła z namysłem, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek przeczytała o drużynie baseballowej z Houston. - Astros często zawodzą...

- Właśnie! - podchwycił Duncan, a potem westchnął z głębi serca.

Uwaga jej musiała mieć swoje uzasadnienie. Rose nabrała większej pewności siebie.

- Czy jesteś kibicem? Wykupujesz bilety na cały sezon?

- Nasza firma wynajmuje całą lożę na stadionie Astrodome - odrzekł. - Cho-

dzę tam dość często, ale ponieważ loża jest miejscem, gdzie przeważnie spotykam się z klientami, rzadko mam okazję odprężyć się i po prostu obserwować grę.

- Nigdy nie widziałam meczu z trybun Astrodome - powiedziała Rose tęsknym głosem i od razu ugryzła się w język. Jeszcze gotów pomyśleć, że sugeruje, by ją zaprosił! Albo jeszcze gorzej... będzie się zastanawiał, jak mogła nigdy nie być na Astrodome. - Nie interesuję się zbytnio sportem - dodała tonem usprawiedliwienia.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się przelotnie, jakby trochę zdziwiony i znów powrócił do jedzenia.

Och, dlaczego to powiedziała! Nieopatrznie wyeliminowała sport z rozmowy.

- Chodziło mi o to - dodała, próbując ratować konwersację - że prawdziwy kibic popiera swoją drużynę niezależnie od tego, czy ona wygrywa, czy przegrywa. Mam wrażenie, że lubię oglądać tylko zwycięzców.

- A ponieważ Astros rzadko wygrywają... - Duncan wybuchnął śmiechem. - Nie, to nieprawda! Ciągłe są blisko, ale zawsze przegrywają najważniejsze mecze. Na początku prowadzą, a potem grają zbyt ostrożnie. - Przechylając głowę, przyglądał jej się uważnie. - Pod koniec meczu, gdy się prowadzi, trzeba grać bardzo ostro, bo właśnie wtedy przeciwna drużyna stawia wszystko na jedną kartę.

Ten wywód brzmiał w uszach Rose niezwykle uczenie.

- Czy opierasz się na własnych doświadczeniach? - spytała.

Duncan uniósł ręce i zabrał się znów do jedzenia.

- Trafiłem jedną czy dwie piłki, gdy byłem w szkole.

Prawdopodobnie oznaczało to, że był wielką gwiazdą, o której powinna słyszeć. Rose ze zrezygnowaną miną nawinęła na widelec *fettuccine*, nie zwracając uwagi, że może pochłapać się sosem.

- Trener powtarzał nam: „Zwycięzcy nigdy się nie zniechęcają, ci zaś, którzy się zniechęcają, nigdy nie zwyciężają”. Podobną maksymą należy się kierować w życiu. - Zerknął na nią z ukosa. - A jaka jest twoja maksyma, Rose?

Że pewnego dnia pojawi się mój książkę... Od razu przyszło to jej do głowy, ale nie mogła podzielić się tą prawdą z Duncanem.

- Codziennie zrób dobry uczynek - powiedziała.

- To chyba motto skautów? - spytał, powstrzymując śmiech.

- Możliwe. Kiedyś byłam harcerką.

- W takim razie, zwracając mi terminarz, wykonałaś na dziś plan - skwitował.

- I jestem ci za to ogromnie wdzięczny.

Rose nie przyszedł do głowy żaden inteligentny komentarz. W życiu jej nie było nic, czym mogłaby zainteresować Duncana Burke'a. Jej życie nie było interesujące nawet dla niej samej. Może powinna wrócić do pierwotnego planu... i poprosić o kilka rad na temat reklamy?

Jeszcze chwila, a cisza stanie się niezręczna. Rose wróciła do jedzenia - zażenowana, że nie potrafi sprostać konwersacji. Gdy intensywnie usiłowała wymyślić następny temat do rozmowy, znów uprzedził ją Duncan:

- Co porabiasz całymi dniami, Rose?

Takiego pytania mogła się spodziewać, nie była więc zaskoczona. Podniosła do góry szklankę z wodą mineralną.

- Mam butik z ubraniami w Village. - Określenie „butik” brzmiało o wiele lepiej niż „sklep z używaną odzieżą”.

- Znam tę okolicę. - W oczach Duncana pojawił się błysk zainteresowania. - Rice Village, prawda? - Gdy Rose skinęła głową, dodał: - Wykładam na tamtejszym uniwersytecie w każdy czwartek.

Teraz zrozumiała, dlaczego każdy czwartkowy wieczór w jego terminarzu był zajęty.

- Jesteś bardzo zapracowanym człowiekiem - powiedziała mimochodem.

- Co masz na myśli?

- Twoja agencja reklamowa odniosła wiele sukcesów. Na ścianach biura zauważyłam kilka plakatów reklamowych, które są powszechnie znane.

- Mieliśmy trochę szczęścia, choć razem z Robertem pracujemy bardzo ciężko. - Uśmiechnął się do niej, po czym gestem pozwolił kelnerowi dolać sobie mrożonej herbaty.

Słowa Duncana zrobiły na Rose ogromne wrażenie. Ona także pracowała bardzo ciężko, ale nigdy nie przypisywała swoich skromnych sukcesów szczęściu.

- Czy sami założyliście agencję? - spytała.

- Tak. I przeszliśmy razem długą drogę, nim pojawił się pierwszy sukces. Żyliśmy za pieniądze pożyczone od przyjaciół i krewnych... właściwie od wszystkich, których udało nam się naciągnąć.

Podziw Rose wzrastał z każdą chwilą. Duncan uwierzył w siebie i chwycił swoją szansę. A teraz spijał śmietankę. Ale ani na chwilę nie przestawał pracować. Przypomniała sobie słowa pani Donahue o jego zachowaniu podczas wesela i doszła do wniosku, że Duncan pracuje być może zbyt dużo.

Zwycięzcy nigdy się nie zniechęcają, ci zaś, którzy się zniechęcają, nigdy nie zwyciężają...

Przez ostatnie kilka lat Rose zachowywała się biernie zarówno w życiu prywatnym, jak zawodowym. Czekwała na księcia, który ją obudzi...

Nie inwestowała ani w siebie, ani w „Zakątek Rose”, ponieważ w głębi duszy wierzyła, że pewnego dnia zjawi się wspaniały mężczyzna, porwie ją w ramiona i wybawi z wszelkich kłopotów. Ale w jaki sposób ten mężczyzna miał ją odnaleźć, jeśli przez cały czas siedziała w sklepie z damską odzieżą?

Na szczęście Duncan ją odnalazł... A właściwie to ona go odnalazła, i teraz powinna pracować, by podtrzymać tę znajomość.

Rozprawiał właśnie o swoich kampaniach reklamowych i ich wynikach. Może powinna rzucić kilka uwag na temat różnych aspektów jego pracy...?

- Doszłam do wniosku, że sprzedawanie wymaga znajomości psychologii - ośmieliła się zwrócić uwagę na pewne podobieństwo między jego doświadczeniami a jej pracą. - Kobiety kupują nie tylko strój, kupują pewną wizję własnej osoby.

- Doskonale to ujęłaś! - Wydawał się szczerze uradowany, co dostarczyło Rose sporo satysfakcji. - Najpierw trzeba sprzedać pewną ideę... piękna, zabawy, szczęścia lub czegokolwiek innego, a dopiero wówczas ludzie zapragną produktu, który jest postacią tej idei. Na przykład, nasza reklama kasków rowerowych firmy Vanguard... - Duncan jaśniał wewnętrznym ogniem; wyraz twarzy miał skupiony, głos brzmiący dźwięcznie i pewnie. Gdy mówił, podkreślał gestami najważniejsze punkty. Nie dziw, że agencja Burke'a i Bernarda odnosiła sukcesy. - Dzieci nie martwią się o swoje bezpieczeństwo, w przeciwieństwie do ich rodziców - prawili dalej. - Jeśli więc dzieciom kaski się nie spodobają, nie będą ich nosić... - Duncan pochylił się do przodu; Rose zauważyła już, że robił to tylko wówczas, gdy chciał zakomunikować coś niezwykle ważnego. - Rob i ja skierowaliśmy więc naszą kampanię do dzieciaków, przekonując ich, że fantastycznie będą wyglądać w kaskach.

- Wasza reklama trafiła nie tylko do dzieci - wtrąciła z entuzjazmem Rose. - Ja także mam kask Vanguarda!

- Naprawdę? - Miał wyraźnie zadowoloną minę. - A co cię skłoniło do kupna?

- Żywe kolory - wyznała, trochę zażenowana, że walory estetyczne były dla niej ważniejsze niż bezpieczeństwo.

- Kaski Vanguarda nie były tak kolorowe, dopóki nie namówiliśmy producenta - pochwalił się z szerokim uśmiechem, który Rose odwzajemniła. - Ale, oczywiście, poza wszystkim innym, to bardzo dobry produkt. W przeciwnym razie nie podjęlibyśmy się reklamy. Nie reklamuję produktów, w które sam nie wierzę.

- To doprawdy godne podziwu - powiedziała Rose, która w głębi duszy właśnie takiej postawy spodziewała się po Duncanie.

- I również świetny interes - dodał, po czym upił łyk herbaty. - Myślę, że nasza uczciwość daje się zauważyć w reklamie i dzięki temu kampania jest bardziej skuteczna.

Konwersacja toczyła się teraz gładko, ale Rose nie mogła się całkiem odprę-

żyć, ponieważ nadal walczyła z niesfornym makaronem, a potem z żalem patrzyła, gdy kelner zabierał jej sprzed nosa ledwie napoczęte danie.

- Napijesz się kawy? - spytał Duncan.

Rose pragnęła przedłużyć lunch, ale spostrzegła, że Duncan dyskretnie zerka na zegarek. Był człowiekiem niebywale zajęтым, z pewnością miał jeszcze inne zobowiązania na dzisiejsze popołudnie. Musiała się pożegnać z naiwną myślą, że zafascynowany nią straci poczucie czasu.

- Nie, dziękuję - wielkodusznie zrezygnowała z kawy. - Myślę, że na nas czas.

Podjęła słuszną decyzję, Duncan bez słowa podpisał rachunek, po czym wyszli na ulicę.

Musiał mieć konto w tej restauracji. Rose nigdy w życiu nie widziała, żeby ktoś płacił, po prostu składając podpis. Ponadto, mimo że Duncan w drodze do wyjścia nie zamienił z nikim ani słowa, podprowadzono przed restaurację jego BMW.

Oto jak żyją moiżni tego świata, pomyślała Rose, zagłębiając się w skórzanym fotelu. Inni ludzie wykonują ich polecenia i zajmują się różnymi przyziemnymi sprawami.

- Skąd sprowadzasz towar do swego butiku? - spytał Duncan, włączając się do ruchu. - Gdzie jeździsz?

- Och, tu i ówdzie. - Rose poczuła, jak wali jej serce. Marzyła o podróżach, pragnęła zobaczyć świat, ale nigdy tych marzeń nie zrealizowała. Duncan najwyraźniej zakładał, że prowadziła ekskluzywny magazyn mody. - Mam wrażenie, że podróże w interesach wydają się bardziej interesujące, niż są w istocie - skłamała nonszalanckim tonem w nadziei, że nie będzie drażył tematu.

Oczywiście, nie wstydziła się swego sklepu, ale na razie wołała, by Duncan nie poznał prawdy.

- Reklama także wydaje się niektórym ludziom bardziej interesująca, niż jest w rzeczywistości - wyznał Duncan. - Ale przecież reklama opiera się na pozorach,

nieprawdaż?

- Przypuszczam, że tak - przyznała Rose, zastanawiając się, czy Duncan mówi poważnie, czy też z lekką ironią.

Nagle, ni z tego, ni z owego, w samym środku przyjemnej konwersacji, Rose pomyślała o swoim samochodzie. Jeździła ośmioletnim, niemodnym wozem o mocno podniszczonej karoserii. Jeśli Duncan zobaczy takiego grata, co sobie o niej pomyśli?

Stali na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Post Oak i Westheimer. Budynek, w którym znajdowało się biuro Duncana był w zasięgu wzroku. Serce Rose przyspieszyło. Duncan bez wątpienia zechce ją podwieźć na parking.

- Na którym piętrze zaparkowałaś? - spytał.

Rose gorączkowo szukała w myślach pretekstu... mógł ją wyrzucić gdzie indziej. W okolicy pełno było ekskluzywnych sklepów, ale w panice nie mogła sobie przypomnieć nazwy żadnego z nich.

- Na trzecim - wykrztusiła w końcu.

Właściwie nawet dobrze nie pamiętała. Duncan gotów pomyśleć, że jest kompletnie roztargniona.

Jechali do góry spiralnym podjazdem; Rose czuła, że zaczyna się pocić. W chwili gdy znaleźli się na trzecim piętrze, spostrzegła swój samochód. Stał pomiędzy dwiema ekskluzywnymi limuzynami.

- Który? - spytał Duncan, jadąc wolno wąskim pasażem.

Rose miała wrażenie, że język przykleił jej się do podniebienia. Duncan minął wypłowiąły, czerwony wóz...

- To ten! - Trzęsącym się palcem wskazała szarego mercedesa. - Tutaj wysiądę! - Uśmiechając się tak naturalnie, jak zdołała, otworzyła drzwi. - Wiem, że jesteś bardzo zajęty, więc po prostu wyskakuję. Dzięki za lunch. Miło było cię poznać.

- Poczekaj... - Duncan wyciągnął rękę, ale Rose już wysiadła, przeszła na drugą stronę wozu i pochyliła się nad oknem kierowcy.

- Jeszcze raz dziękuję - wymamrotała. - Nie zatrzymuj się! - Odsunęła się o kroki pomachała ręką. Jej pożegnalny śmiech zabrzmiało głupio nawet w jej własnych uszach.

Podeszła do mercedesa i zaczęła udawać, że szuka kluczyków w torebce. Gdy nadal nie słyszała odjeżdżającego samochodu, podniosła głowę i znów pomachała Duncanowi.

Proszę, odjedź! Była coraz bardziej zażenowana.

Ale samochód Duncana nadal stał w miejscu.

- Jestem okropnym kierowcą - zawołała z rozpaczą w głosie. - Nie chcę się skompromitować nieporadnymi manewrami w garażu. Proszę cię, odjedź! - To była ostatnia deska ratunku przed jeszcze większą kompromitacją.

Twarc Duncanu odprężyła się wyraźnie.

- Powinienem się domyślić! - uśmiechnął się porozumiewawczo.

Pomachał jej ręką i wreszcie ruszył.

Serce Rose zaczęło bić wolniej. Udało się! Chwyciła głęboki oddech, potem wolno wypuściła powietrze z płuc i ciężkim krokiem podeszła do swojego samochodu.

Właściwie ten lunch można było uznać za sukces, rozważała. Duncan z pewnością nie zanudził się na śmierć. Co najmniej dwa tematy, które poruszyła, wzbudziły jego zainteresowanie.

Siadając za kierownicą, doszła do wniosku, że musi poszerzyć wiedzę na poruszone tematy. Może powinna wypożyczyć z biblioteki kilka książek...? Albo zapisać się na letnie kursy, które prowadził Uniwersytet Rice...? Oczywiście, na taki kurs, który odbywa się w czwartki wieczorem... Oczywiście, marketing nie wchodził w grę... Jeśli po tej rozmowie pojawiłaby się na kursie prowadzonym przez Duncana, mógłby się poczuć osaczony.

Przekręciła kluczyk w stacyjce; silnik jak zwykle drażnił się z nią przez kilkanaście sekund, nim zaskoczył. Nacisnęła pedał gazu - samochód zakaszłał, wyplu-

wając z siebie kłęby dymu.

Rose wycofała się z zatoczki parkingowej akurat w momencie, gdy Duncan wchodził do biurowca. Rose popatrzyła za nim z tęsknotą. Kiedy go znów zobaczy...? Powinna ostrzec Connie, na wypadek gdyby Duncan zatelefonował.

I nagle z mdlącym uczuciem w żołądku zdała sobie sprawę, że nie dała Duncanowi swego numeru telefonu. On zresztą wcale o niego nie poprosił! Co więcej, nie znał nawet nazwy jej sklepu... Wiedział jedynie, że przyjaźniła się z rodziną Donahue oraz że była właścicielką butiku w Village.

A jeśli zadzwoni do pani Donahue i spyta o Rose Franklin? Wówczas dowie się, że wcale nie była zaproszona na ślub Stephanie, że nie była tym, za kogo się podała... Dowie się, że była oszustką!

Gdy z jednej strony ogarnęło ją przerażenie, druga, bardziej racjonalna część jej umysłu podpowiadała, że wcale tak stać się nie musi. Po pierwsze - jeśli Duncan poprosi panią Donahue o numer telefonu do Rose, możliwe, że dokładne jej związki z rodziną Donahue nie wyjdą na jaw.

Po drugie zaś... Po drugie, myśląc chłodno i racjonalnie, Rose wiedziała, że Duncan nie zamierzał zadzwonić ani do niej, ani do pani Donahue. Jeśli chciałby się z nią znów zobaczyć, poprosiłby ją o numer telefonu. A tego nie zrobił.

Dawniej Rose pogrążona w smutku snułaby się godzinami po sklepie, roztrząsając utraconą szansę. Teraz jednak odmieniona Rose zaparkowała samochód i nawet nie zdejmując pożyczonego kostiumu, popędziła do kantorka ponownie prze-studiować notatki zrobione na podstawie terminarza Duncana.

Postanowiła zaaranżować kolejne „przypadkowe” spotkanie z Duncanem. Do tego spotkania, oczywiście, lepiej się przygotuje... Duncan, jak widać, nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że byli sobie przeznaczeni. Potrzebował czasu... a Rose mu go podaruje.

- Jak wypadło spotkanie? - Connie pojawiła się w drzwiach. - Zwaliłaś ich z nóg?

- Kostium był doskonały - odparła rzeczowo Rose.

- A reszta? Fryzura, makijaż?

Rose wolno skinęła głową, przypominając sobie, w jaki ugrzeczniony sposób potraktowała ją sekretarka Duncana.

- Ale następnym razem zdecyduję się na bardziej swobodną fryzurę - powiedziała, gładząc swoje sztywne włosy.

- Będzie następny raz? - Connie uniosła brwi.

- Oczywiście. - Rose popatrzyła na papiery na biurku.

Musi tylko wymyślić miejsce i czas.

Najlepszym miejscem byłyby Texas Health Club w Houston... Z terminarza Duncana wynikało, że jest posiadaczem karty członkowskiej. Przecież wielu ludzi bywało w tym klubie. Jeśli więc Rose pojawi się tam przypadkiem, akurat w momencie gdy Duncan przyjedzie na swoją cotygodniową partię tenisa... Albo gdy będzie stamtąd wychodził? Tak, przypadkowe spotkanie z nim po grze będzie najlepszym rozwiązaniem. Wysilek fizyczny oczyszcza umysł. Będzie zmęczony - ale czujny. Zaprosi go na drinka do baru. Zasłona spadnie mu z oczu... i wówczas zobaczy w niej - w Rose Franklin - swój ideał kobiety. Tak, właśnie wtedy Duncan zrozumie, że Rose jest kobietą stworzoną dla niego. Może nawet zaprosi ją wówczas na kolację? Na romantyczną kolację, podczas której wyzna jej wieczną miłość... Ona zaś z uśmiechem na ustach zgodzi się go poślubić...

Rose westchnęła, wyobrażając sobie ten cud.

Tak czy inaczej, w środę rano pojechała do Texas Health Club. Klub zajmował całe piętro hotelu Post Oak, nowoczesnego budynku tonącego w zieleni, który znajdował się tuż obok biura Duncana. Nic dziwnego, że Duncan właśnie tutaj przychodził się relaksować.

Jadąc wąską aleją wysadzaną młodymi dębami, Rose uspokoiła się nieco i nabrała większej pewności siebie. Niebawem jednak przyszło otrzeźwienie. Ekskluzywna dzielnica, pełne zieleni otoczenie - to kosztowało. I to bardzo słono.

- Pięć tysięcy dolarów? - Gapiła się na młodego człowieka w białym uniformie, który podał jej cenę karty członkowskiej.

- To tylko jednorazowa wstępna opłata - wyjaśnił. - Roczna karta członkowska kosztuje tylko trzy i pół tysiąca.

- Czy można wykupić kartę na mniej niż rok? - spytała speszona Rose.

- Nie - szybko rozwiął jej nadzieje. - Tylko gość członka naszego klubu może uzyskać jednorazową kartę wstępu. Ale, jeśli mam być szczery - dodał z udawanym żalem - obecnie mamy długą listę oczekujących.

Tylu ludzi stać było na to, żeby się tutaj pocić! Rose była zbulwersowana.

W tym momencie jakaś młoda para podeszła do recepcji i podała młodemu człowiekowi klucz do pokoju. Recepcjonista wystukał coś na komputerze, po czym skinął głową.

- Mam dopisać do rachunku? - spytał, a gdy przytaknęli, wystukał numer i powiedział z uśmiechem: - Życzę przyjemnych ćwiczeń.

- Czy goście hotelowi mogą korzystać z usług klubu? - spytała Rose, ponieważ w jej głowie zaczął świtać pewien pomysł.

- Tak... A pani mieszka w tym hotelu?

W tym samym momencie zadzwieczał telefon i recepcjonista odwrócił się, żeby podnieść słuchawkę.

Jeszcze nie, pomyślała rozdrażniona Rose. Zerknęła przez oszklone drzwi. Przebywający w środku goście ubrani byli w zgrabne, obcisłe kostiumy gimnastyczne. Westchnęła z bólem. W jej sklepie nie było odzieży rekreacyjnej. Będzie musiała ponieść konieczne wydatki, zaraz po tym, jak zarezerwuje sobie w hotelu Post Oak pokój na jutrzejszą noc.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W czwartek Rose pojawiła się w klubie sportowym hotelu Post Oak. Po długim namyśle doszła do wniosku, że najlepiej będzie wpaść na Duncana, gdy ten skończy grać w tenisa. Będzie z pewnością spragniony, więc jej zaproszenie na drinka przyjmie z ochotą. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, ile czasu zajmie mu gra.

Nic również nie wiedziała o budzących grozę przyrządach do ćwiczeń w siłowni. Starła się jednak zachowywać swobodnie.

Zacisnęła zęby, usiłując nie myśleć o pieniądzach wydanych na różne fikuśne, elastyczne fatałaszkę we wściekłym różowym kolorze, które teraz miała na sobie. Nigdy do głowy jej nie przyszło, że mogłaby włożyć coś w różowym kolorze! Ale dzisiaj - musiała obiektywnie stwierdzić - być może z powodu blond włosów, wyglądała w tych różowościach całkiem dobrze.

Wynajęła pokój w hotelu na jedną noc po to, żeby mieć prawo skorzystać z klubu odnowy biologicznej. Zadrzała na myśl o kosztach i położyła swoją butelkę wody mineralnej oraz ręcznik obok roweru do ćwiczeń. Przestań się tym dręczyć, powtarzała sobie w duchu.

Oczywiście, nie mogła przestać myśleć. Nawet powtarzanie sobie, że inwestuje w swoją przyszłość, nie dawało rezultatu.

Rose niepewnie spojrzała na pulpit roweru; było tam mnóstwo kolorowych kontrolki i wyłączników. Nie bardzo się w tym wszystkim orientowała, ale odważnie usiadła i zaczęła pedałować. Pedały poruszały się tak ciężko, jakby jechała pod górę. Jeden z przełączników musiał służyć do regulacji oporu...

Po kilku próbach udało jej się przestawić pedały tak, by poruszały się łatwiej. Rower obok był akurat wolny, ale wszystkie inne pozajmowane. Jakiś mężczyzna pedałował z taką furją, jakby walczył o życie. Dwie kobiety czytały książki.

Rose obserwowała ćwiczących ludzi przede wszystkim po to, by zorientować

się, jak działają poszczególne urządzenia. Oczywiście, personel mógłby udzielić jej wskazówek, ale Rose wolała nie zwracać na siebie uwagi. Chciała wejść do tego świata cicho i miękko, tak jakby od zawsze tu należała. Przysięgła sobie, że pewnego dnia naprawdę będzie do niego należeć.

O wpół do piątej zaczęła zerkać w kierunku męskiej szatni. Nie była pewna, gdzie znajdował się parkiet do gry w tenisa, wiedziała jednak, że Duncan musi się przebrać przed meczem.

Ćwiczyła właśnie mięśnie klatki piersiowej, walcząc z jakąś piekielną maszyną, gdy niespodziewanie Duncan wraz z partnerem wyłonili się z szatni.

Rose nadludzkim wysiłkiem przyciągnęła ramiona i schowała w nich głowę. Gdyby ją teraz zobaczył, cały plan spaliłby na panewce.

Ubrany był w granatowe szorty, które odsłaniały umięśnione uda oraz luźną koszulkę podkreślającą mocno zarysowane ramiona i szeroką klatkę piersiową. Rose leciutko uniosła głowę, by obserwować go, jak maszeruje przez salę. Poruszając się z wdziękiem atlety, zatrzymał się na chwilę i rakieta uderzył w podeszwę buta, po czym odpowiedział śmiechem na uwagę swego towarzysza.

Duncan był jej ideałem, księciem z bajki... Gdy śniła o nim na jawie, zawsze widziała w myślach jego twarz o silnej szczęce i błyszczących, białych zębach, przenikliwe, niebieskie oczy oraz pięknie wykrojony nos - ale, aż do tej chwili, reszcie jego ziemskiej powłoki nie poświęcała wiele uwagi.

Teraz doznała olśnienia. Duncan Burke w całej swej okazałości był niezwykle przystojny! Na chwilę zapomniała, gdzie jest, i piekielna maszyna znów rozerwała jej ramiona; nie mogła, mimo wysiłków, z powrotem zbliżyć ich do siebie. Duncan był pełen fizycznej krzepy - ona zaś była mięczakiem bez kondycji!

- Może zmienić ciężar? - spytał ćwiczący obok mężczyzna.

Rose zamrugała oczyma. Mężczyzna miał tak potężne ramiona, że w ogóle nie było widać jego szyi.

- Nie, dziękuję... Na dzisiaj już wystarczy. - I na jutro, i na pojutrze, pomyśla-

ła.

- Następnym razem radzę zacząć od lżejszych ćwiczeń. W ciągu jednego popołudnia nie nadrobi pani zaniedbań całego życia. - Mężczyzna skłonił się i odszedł.

Zaniedbania całego życia...? Rose nie miała o tym pojęcia. A może z fałszywą próżnością oceniała swój wygląd w mocno obciskającej bieliźnie?

Gdy opuściła drżące ramiona, Duncan i jego towarzysz zniknęli za drzwiami w końcu sali. Z pewnością tam właśnie znajdowały się korty.

Chociaż miała ochotę natychmiast za nim pobiec, opanowała się i wolno przechodziła od przyrzędu do przyrzędu, za każdym razem podnosząc coś lub wyciskając - tak aby nikt nie powziął podejrzeń, że śledzi Duncana. Gdy dotarła do ostatniego przyrzędu, ledwie mogła chodzić. Zabrakło jej nawet siły, by otworzyć drzwi!

Wreszcie jakimś cudem znalazła się w wąskim korytarzyku o przezroczystych ścianach z pleksiglasu. Na jego końcu znowu były jakieś kolejne drzwi; ale Rose nie musiała się trudzić, by sprawdzić, co się za nimi znajduje, ponieważ zdążyła już zauważyć Duncana oraz jego partnera.

Niezwykle skoncentrowani wymieniali szybkie piłki; obaj byli spoceni i zaróżowieni z wysiłku.

Rose poczuła suchość w gardle. Perlisty pot pokrywał ciało Duncana. Supły mięśni lśniły, wilgotne włosy oblepiały czoło; za każdym razem, gdy odbijał piłkę, na jego twarzy pojawiał się grymas bólu.

Do uszu Rose dochodził stłumiony stukot odbijającej się o parkiet piłki, skrzypienie gumowych podeszew oraz pokrzykiwania i jęki wysiłku. Na pozostałych kortach również grano, ale Rose obserwowała tylko Duncana, który najwyraźniej czuł się tu jak ryba w wodzie. Sport, rzecz oczywista, był jego głównym hobby. Jeśli Rose pragnęła, by się nią zainteresował, musiała również zacząć coś uprawiać. Jazda na rowerze po Village nie wystarczy, by zachować dobrą figurę...

Nagle Duncan krzyknął i podbiegł do piłki, która uderzyła w sufit. Siła rozędu rzuciła go na ścianę, za którą stała Rose. Jak automat cofnęła się o krok, ale przez ułamek sekundy, gdy dotknął plecami przymglonej szyby, poczuła ciepło jego ciała.

Na szczęście jej nie zauważył. Zaplanowała przecież „przypadkowe” spotkanie...

Ogromnie żałowała, że nie ma bliskiej przyjaciółki, z którą mogłaby o tym porozmawiać. Prowadzenie sklepu nie pozostawiało dużo czasu na życie towarzyskie. Większość kobiet, które znała, wyszły już za mąż i zajęte były własnymi rodzinami. Dziś zapewne najbliższą przyjaciółką Rose była Connie, ale ponieważ Connie była jednocześnie jej ekspedientką, wołała jej nie wtajemniczać we wszystkie swoje sprawy osobiste. Chociaż Connie pewnie już i tak zgadła, że za nagłą zmianą zachowania Rose kryje się jakiś mężczyzna.

Tymczasem Duncan nie trafił w piłkę, skrzywił się nieznacznie, lecz już po chwili szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Widać było, że nie żywi złości do przeciwnika.

- Świetny strzał! - zawołał.

Prawdziwy sportowiec. Pracowity biznesmen. Męski facet. Przystojny. Dynamiczny i skuteczny. Cieszący się uznaniem. Prawdopodobnie zamożny, skoro stać go było na kartę uczestnictwa w tym ekskluzywnym klubie... Rose westchnęła. Czy w takim mężczyźnie można było się nie zakochać?

Posłała mu ostatnie spojrzenie i wróciła do siłowni.

Uczesana dziś była w koński ogon zebrany na czubku głowy. Kilka kosmyków opadało na policzki i kark. Zastanawiała się właśnie nad wyciągnięciem jeszcze kilku, by sprawiać wrażenie bardziej zmęczonej, gdy nagle w tylnych drzwiach pojawił się Duncan ze swym partnerem.

Serce Rose biło w oszalamiającym tempie, gdy powoli na drżących nogach zaczęła iść w jego kierunku. Zauważ mnie! Odezwij się pierwszy... Zaproponuj

drinka, bym nie musiała i tym razem wykonać pierwszego ruchu.

Pogrążony w rozmowie z kolegą, Duncan wycierał twarz ręcznikiem.

Być może przeznaczenie sprawiło, że poznała Duncana... ale tym razem nie załatwiło sprawy. Ostatecznie Rose znów musiała wykonać pierwszy ruch.

- Duncan? - Wielokrotnie ćwiczyła wypowiedzenie jego imienia z lekkim zaskoczeniem w głosie.

Podniósł głowę, ale twarz jego wydawała się obojętna.

- Cześć, Duncan! - powtórzyła z uśmiechem.

To także przećwiczyła przed lustrem.

Nie odwzajemnił uśmiechu tylko zamrugał oczyma. Rose poczuła, że ziemia osuwa jej się spod nóg. Nie pamięta, kim jestem... Nawet mnie nie poznaje! Nie zrobiłam na nim żadnego wrażenia...

Przewidziała wszystko, tylko nie to! Jak mógł o niej zapomnieć! Przecież jedli razem lunch zaledwie dwa dni temu...

Chciała się zapaść pod ziemię, schować w mysia dziurę. Powinna zarzucić ręcznik na głowę i uciec, gdzie pieprz rośnie...

Zamiast tego wymownie poklepała się po brzuchu i dała mu kolejną wskazówkę:

- Właśnie usiłuję zrzucić ten wspaniały lunch, który razem zjedliśmy.

Nareszcie ją rozpoznał.

- Robertcie! - zwrócił się do niepozornego mężczyzny, który mu towarzyszył.
- Oto anioł, który znalazł mój terminarz!

Zapomniany anioł. Duncan nie tylko jej nie rozpoznał, ale również zapomniał, jak jej na imię.

- Jestem Robert Bernard. - Partner Duncana wyciągnął rękę.

- Rose Franklin - odparła głośno i wyraźnie.

- Dzięki ci, że zwróciłaś Duncanowi bezcenny terminarz. - Rzucił przyjacielowi spojrzenie z ukosa. - A teraz lecę pod prysznic. Miło było cię poznać, Rose.

Przynajmniej zapamiętał imię, pomyślała z goryczą.

- Szłam właśnie do baru czegoś się napić - wtrąciła, nim Duncan zdążył przyłączyć się do przyjaciela. - Pójdiesz ze mną? - I nie pozostawiając mu czasu na przemyślenia, zaczęła iść.

Do licha, chyba za nią pójdzie...? Dla niego przecież ufarbowała włosy. Dla niego męczyła się ze zdradzieckimi *fettuccine*. Dla niego torturowała się w siłowni. W dodatku musi zapłacić przynajmniej trzysta dolarów za pokój w hotelu! W tej sytuacji chyba nie ośmieli się odrzucić zaproszenia na drinka?

- Nigdy przedtem cię tutaj nie widziałem - powiedział, podążając za nią.

I tak by jej nie zauważył, nawet gdyby przychodziła tu codziennie! Minał już pierwszy ostry ból i teraz Rose po prostu była zła. A nawet wściekła. I nie zamierzała analizować, czy wściekłość ta była usprawiedliwiona, czy nie. Duncan wymazał ją z pamięci i wcale nie chciał znów jej widzieć.

- Jestem tu pierwszy raz - powiedziała. - Zatrzymałam się w hotelu, ponieważ przeprowadzam remont. - Connie właśnie zmieniała wystawę. Był to więc mały remont, czyż nie?

Gniew, który w niej narastał, miał również pozytywne działanie, ponieważ pod jego wpływem przestała się bać Duncana. Był tylko człowiekiem - prawie doskonałym, ale jednak nie całkiem...

- Pomyślałem, że to byłoby dziwne, gdybym cię wcześniej nie zauważył - powiedział, siadając na obrotowym stołku przy barze. Skinał nieznacznie na barmankę, która po chwili zaczęła przygotowywać dla niego koktajl. - Ale ostatnio miałem tyle spraw na głowie, że nie zdziwiłbym się, gdyby tak było w istocie.

- Po odzyskaniu terminarza z pewnością jest ci łatwiej.

- Oczywiście, ale niezależnie od tego mamy mnóstwo kłopotów z ostatnią kampanią reklamową.

- Co pani podać? - spytała barmanka.

Rose miała niepewną minę. Co się tutaj zamawia? Ani nad kasą, ani nigdzie

indziej nie było wywieszzonego menu.

- Lisa doskonale wie, co zwykle zamawiam - wyjaśnił Duncan z tajemniczym uśmiechem.

- Poproszę to samo - powiedziała stanowczym tonem Rose, kładąc kartę z numerem pokoju na ladzie.

- Możesz tego żałować - szepnął Duncan pod nosem.

- A co pijesz?

- Sok ananasowy z sokiem z marchwi i perzem.

- Perzem? - zdziwiła się, ale w tym momencie Lisa wyciągnęła szufladę, w której rosła trawa. Wycięła kwadrat, po czym rozdrobniła trawę i wrzuciła ją do miksera. Rose zaskoczona spojrzała na Duncana.

- Miałem zamiar już z tym skończyć - skrzywił się z niesmakiem - ale podobno perz jest bardzo zdrowy.

- Zdrowe rzeczy na ogół smakują okropnie.

- Jesteś mądrą dziewczyną, Rose - pochwalił ją, gdy barmanka postawiła przed nimi dwa jasnopomarańczowe drinki.

Rose postukała w swą kartę magnetyczną, by zwrócić uwagę Lisy, że chce zapłacić. Zauważyła już wcześniej, że nikt korzystający z baru nie płacił tutaj gotówką. Kilka sekund później Lisa podała Rose kartkę. Podpisała się na niej szybko - tak samo, jak uczynił to Duncan we włoskiej restauracji. Z jednym małym wyjątkiem. Nie spojrzała na sumę... Ale ile może kosztować marchewka z trawą? To zresztą było bez znaczenia. Wszystko szło dobrze. Rose kontrolowała sytuację

- Dziękuję. - Duncan uniósł szklanekę i upił łyk.

Rose z równie światową miną podniosła swoją do ust i...

I odebrało jej dech.

- Ależ to pachnie jak kupa kompostu! - A smakowało jeszcze gorzej.

- Wiem - przychylił się do tej opinii.

- Musi być naprawdę bardzo, bardzo zdrowe.

- Mam taką nadzieję. - Chwycił głęboki oddech i jednym śmiałym haustem wypił resztę napoju.

Podziwiała go, że nie zwymiotował. Rozejrzała się po barze w poszukiwaniu słonych orzeszków, prażonych chrupek lub czekolady... Czegokolwiek.

- Zapewniam cię, że smakuje lepiej niż pachnie - stwierdził Duncan, krzywiąc się mimowolnie.

Rose śmiało podała mu swoją szklankę.

- Proszę, możesz wypić także mój. Liso, poproszę o zwykły sok pomarańczowy.

Duncan roześmiał się i odstawił jej szklankę na bar.

Niech się śmieje, myślała rozdrażniona. Sok pomarańczowy być może brzmi pospolicie, ale za to smakuje, jak powinien smakować prawdziwy sok.

- Liso, dla mnie też sok pomarańczowy! - powiedział Duncan, nadal się śmiejąc.

Rozśmieszyła go. To był dobry znak. Musiała teraz zachęcić go do mówienia. To by ich do siebie zbliżyło.

- Opowiedz mi coś więcej o tej kampanii reklamowej, która przysparza wam kłopotów - poprosiła, gdy Lisa postawiła przed nimi nowe drinki.

- Nie chciałbym cię zanudzać... - Głos Duncana pozbawiony był entuzjazmu.

- Ależ mnie to naprawdę interesuje! - zaprotestowała z ożywieniem. - Jestem ciekawa, jaki to interes nie idzie, mimo że reklamują go Burke i Bernard.

Duncan oparł łokcie na barze i ponuro popatrzył na szklankę.

- Sieć supermarketów Bread Basket Foods - powiedział zrezygnowanym tonem. - Robisz tam może zakupy?

- Nie.

- Podobnie jak reszta mieszkańców Houston. - Westchnął głęboko. - I nie potrafię zrozumieć, dlaczego. Mają konkurencyjne ceny. Ośrodki badań opinii publicznej twierdzą przecież, że cena towaru jest podstawowym czynnikiem warunku-

jącym wybór sklepu.

- Może powinieneś zmienić sposób reklamy? - zasugerowała, ale zaraz poczuła się głupio.

Cóż ona wie? Przecież Duncan jest profesjonalistą.

- Owszem - przycisnął ręcznik do twarzy - przekonaliśmy ich, by podnieśli budżet przeznaczony na reklamę. - Głos miał stłumiony, dopóki nie odsunął od twarzy ręcznika. - Zmieniliśmy charakter kampanii, ale nadal sukcesu nie widać.

Rose pomyślała o wielkim supermarkecie znajdującym się niedaleko jej sklepu. Gdy budowano go kilka lat temu, lokalna społeczność ostro protestowała, ponieważ architektura ogromnego budynku nie pasowała do otoczenia. Po długich negocjacjach Bread Basket zgodzili się obniżyć na dachu jaskrawe logo, ale plastikowe flagi, muzyka rycząca z głośników i mocno oświetlony parking nadal denerwowały mieszkańców.

- Szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko temu, żeby Bread Basket zbankrutował - powiedziała niezyczliwie Rose.

- Dlaczego? - obruszył się Duncan.

- Należę do stowarzyszenia miejscowych kupców. Gdy Bread Basket zaczęli budować, narazili się nam wszystkim. Mimo to większość z nas przynajmniej raz odwiedziła ich sklep. Gdyby byli tak wspaniali, jak się reklamują, mieszkańcy Village mimo wszystko robiliby tam zakupy.

- Nie mogę uwierzyć, że nie ma ludzi, którzy chcą zaoszczędzić pieniądze - powiedział Duncan, upijając łyk soku.

- A ty robisz zakupy w Bread Basket? - Spojrzała mu w oczy.

- Nie, ale ja niezbyt często w ogóle robię zakupy...

- Dlaczego?

- Po prostu rzadko coś gotuję. - Wzruszył ramionami.

- Ale jeśli musisz coś ugotować, robisz zakupy w Bread Basket? - naciskała.

- Wiem, do czego zmierzasz - nachmurzył się - ale ja nie jestem typowym

klientem supermarketu. A poza tym, nie mam tego sklepu blisko domu.

- Czy ceny w sklepie, w którym robisz zakupy, są wyższe niż w Bread Basket?

Duncan poruszył się na stołku i rzucił jej poirytowane spojrzenie. Rose odpowiedziała mu łagodnym uśmiechem.

- Istotnie, są nieco wyższe - przyznał niechętnie. - Mówiłem ci już, że supermarkety Bread Basket mają najniższe ceny w mieście.

- A przecież ośrodki badania opinii uważają, że cena jest najważniejsza przy wyborze sklepu...

- W porządku - przerwał jej z irytacją - przyznałem już, że ta firma sprawia nam kłopot. - Wypił ostatni łyk soku. - Nie przywykliśmy do porażek - dodał.

Rose wyczuła, jak bolesne to było wyznanie.

- To nie jest wasza porażka - pocieszyła go. - To wyłącznie porażka Bread Basket.

- Co masz na myśli?

- Widziałam wasze reklamy i być może dałabym się na nie złapać. Ale prawda jest oczywista: zakupy w Bread Basket sprawiają mi za wiele kłopotu.

- Dlaczego?

Obserwował ją przenikliwym wzrokiem; wsłuchiwał się w każde jej słowo. Rose powoli nabierała pewności siebie. I kto by pomyślał, że to ona - Rose Franklin - udziela rady Duncanowi Burke'owi!

- Bread Basket oferują korzystne ceny, ponieważ sprzedają produkty w dużych opakowaniach - ciągnęła. - Mnie to zupełnie nie odpowiada. Mieszkam sama... Po co mi dziesięć kilo proszku do prania? A zakup kilku podstawowych artykułów trwa tam nieskończenie długo. Mleko znajduje się z tyłu, chleb po drugiej stronie, a pomiędzy nimi, na przestrzeni wielkości boiska piłkarskiego, regały z piełuchami!

- To sprawdzona strategia marketingowa - wyjaśnił. - Im dłużej trzyma się

klienta w sklepie, tym większa szansa, że coś kupi pod wpływem impulsu.

- Możliwe - odparła z powątpiewaniem. - Wiem tylko, że pod koniec długiego, pracowitego dnia, chcę szybko kupić kilka rzeczy i jak najprędzej znaleźć się w domu. Robię więc zakupy w Sheffield, blisko mojego butiku.

- Sheffield jest staroświecki, ma marny wybór i ceny przeciętnie o siedemnaście procent wyższe niż gdzie indziej - wyrecytował Duncan. - Od lat stoją w miejscu.

- Ale robię tam zakupy w pięć minut - odparowała.

Nastąpiła cisza. Czyżby Duncan rozważał jej słowa?

- Przyznaję - odezwał się wreszcie - że czynnik wygody jest ważny. Ale przecież nie każdy żyje samotnie tak jak my - podkreślił. - Bread Basket nastawiony jest na zakupy rodzinne.

Myśl, że Duncan mógłby być żonaty w ogóle nie powstała w jej głowie. Święcie wierzyła, że los nie spłatałby jej równie okrutnego figła. Przyjęła więc jego wyznanie jako rzecz całkiem oczywistą.

- Jeśli Bread Basket liczą na rodzinne zakupy, dlaczego zdecydowali się na lokalizację w pobliżu Uniwersytetu Rice? - spytała. - Przecież tam mieszkają przede wszystkim studenci! Ten, kto wybrał tę lokalizację musiał być chory!

- Masz rację - przyznał Duncan. - I co do reszty również. Wiedzieliśmy o tym z Bernardem, ale potraktowaliśmy tę pracę jak wyzwanie. - Roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było radości. - W wyobraźni widzieliśmy już nagłówki: „Burke i Bernard osiągnęli niemożliwe! Agencja reklamowa ocaliła sieć supermarketów!” - Wykrzywił usta. - Co za pech!

Rose odnosiła wrażenie, że ta szczerza rozmowa działa nań kojąco. Starła się więc zachęcić go do dalszych wynurzeń, świadoma, że nie pozostało im już wiele czasu. W czwartki o wpół do ósmej Duncan rozpoczynał wykłady na kursach. Właśnie dochodziła szósta; z pewnością musiał wziąć prysznic, przebrać się, zjeść kolację i dojechać do Rice... Jeśli Rose udałoby się podtrzymać konwersację, być mo-

że zasugerowałyby dokończenie przerwanej wątku podczas kolacji...

Gorączkowo szukała w głowie jakiejś wnikliwej sugestii.

- Czy możliwe, by Bread Basket zgodzili się pomyśleć nad zmianą sposobu działania? - spytała po namyśle.

- W tym sęk! - Duncan potrząsnął głową. - Raczej zmienią agencję. A nasi konkurenci rozgłoszą wszem i wobec, że Burke i Bernard nie potrafili rozegrać tej partii!

Kolejna sportowa metaforą, pomyślała Rose. Stanowczo powinna bardziej zainteresować się sportem.

- Ile Bread Basket posiada sklepów w Houston? - spytała.

- Trzy. Chcieliby więcej, ale na razie wstrzymali plany ekspansji. Czekają, aż te trzy zaczną przynosić dochody, na co, jak widzisz, się nie zanosi.

Nagle Rose przyszedł do głowy świetny pomysł.

- Chyba potrafię pomóc ci w sprawie sklepu w Village - powiedziała, gromiąc się w duchu za nielojalność wobec mieszkańców swojej dzielnicy.

- W jaki sposób? - spytał, zerkając wymownie na zegarek.

Ton sceptycyzmu w jego głosie zmroził ją. Być może nie znała się na reklamie, ale przecież od wielu lat pracowała i mieszkała w Village. Bread Basket był tematem poruszonym na co najmniej dwunastu zebraniach stowarzyszenia miejscowych kupców.

- Bread Basket musi zadbać o więź z mieszkańcami, wkupić się w nasze łaski. Powiedz im, żeby zdjęli te jaskrawe flagi i przestali puszczać muzykę na parkingu.

Słowa te przykuły jego uwagę.

- Muszę to natychmiast zapisać. - Zaczął przeszukiwać kieszenie szortów.

- Nie trudź się - powiedziała Rose. - Nie zapomnę o tym. Od pięciu lat prosimy o to kierownictwo sklepu.

Duncan sięgnął jednak po pióro, którym posługiwała się Lisa i zapisał coś na serwetce.

- To nie wszystko - dodała Rose po namyśle. - Widzisz, oni dysponują wobec nas, mieszkańców Village, potężnym atutem. Mają przestrzeń. Wystarczy, aby w jednej z tych hal, przeznaczonych na magazyny, stworzyli nam miejsce spotkań, coś w rodzaju klubu dla mieszkańców dzielnicy...

- Nigdy się na to nie zgodzą! - przerwał jej stanowczo, ale zanotował również i tę sugestię. - To zmniejszy ich zyski z metra kwadratowego.

- Och, z pewnością mogą sobie to zrekompensować, wydzielając dział dla samotnych klientów. - Rose oczyma duszy zobaczyła wymarzony sklep, a w nim: mleko, pieczywo, sałata, czekolada... wszystko w zasięgu ręki. Nieopodal pojedyncze porcje mięsa i małe dania mrożone... - Mogą zebrać podstawowe produkty w małych opakowaniach i umieścić je w jednym miejscu, najlepiej obok sali klubowej... Oczywiście, ceny będą tu wyższe.

Duncan przyglądał jej się w skupieniu.

- A ponieważ ludzie przyjdą do sklepu na spotkanie, jest wielce prawdopodobne, że coś kupią, wychodząc.

- Właśnie! - podchwyciła wesoło.

Twarz Duncana rozjaśnił uśmiech.

- Rose, jesteś cudowna! Nie wiem, czy się na to zgodzą, ale byliby szaleni, gdyby odmówili. Przedstawię im tę propozycję osobiście. - Zsunął się ze stołka. - To naprawdę wspaniałe! Jesteś cudowna! - Pochylił się szybko i nim Rose zorientowała się do czego zmierza, głośno pocałował ją w policzek. - Już dwa razy wyratowałaś mnie z opresji. Jak ci się odwdziczę? - Ale nim zdążyła podsunąć pomysł wspólnej kolacji, zerknął na zegarek i zawołał: - O Boże, mam dziś wykład! Zatelefonuję... wkrótce. - Przesłał jej dłonią pocałunek i pospieszył do szatni.

Rose kręciło się w głowie ze szczęścia. To spotkanie warte było każdego piędzdy!

Duncan ją pocałował! Zamierzał do niej zadzwonić...

I nagle uświadomiła sobie, że nadal nie znał numeru jej telefonu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jak więc zamierzał się z nią skontaktować, nie znając jej numeru telefonu?

Po głębszym namyśle doszła do wniosku, że Duncan może zadzwonić do hotelu. Powiedziała mu przecież, że zatrzymała się w hotelu z powodu remontu. A remonty zazwyczaj trwają dłużej niż jeden dzień. Przecież nie mógł podejrzewać, że wynajęła pokój tylko na jedną noc!

Oczywiście, mogła zadzwonić do jego biura i zostawić numer do sklepu, który także był jej prywatnym numerem telefonu, ale postanowiła tego nie robić. Po wszystkich jej wysiłkach przyszła kolej na inicjatywę Duncana... Pozostało jej tylko czekanie.

- Podać coś jeszcze? - Lisa wytarła blat baru, a gdy Rose zaprzeczyła ruchem głowy, położyła rachunek obok szklanki Rose.

Oczy Rose rozszerzyły się ze zdumienia. Cztery dolary i pięćdziesiąt centów za dwie szklanki soku pomarańczowego! W dodatku Lisa z pewnością oczekiwała napiwku. Do licha! Chcąc nie chcąc dopisała niewielką sumę do rachunku, postanawiając w duchu, że od dziś pozostanie przy kupionej na mieście wodzie Evian.

W perspektywie miała długi, samotny wieczór. Co mogła robić? Kolacja w pojedynkę nie przedstawiała się zachęcająco. Prostując ramiona, skrzywiła się z bólu. Tak, prysznic, a potem długa, relaksująca kąpiel były najlepszym pomysłem. Powoli zsunęła się z barowego stołka i wróciła do swego pokoju.

Wzięła kąpiel, a potem, owinięta w biały, hotelowy szlafrok, założyła okulary i usiadła na łóżku wraz z notatkami zrobionymi na podstawie terminarza Duncana. Z koszyka na owoce stojącego na lodówce wzięła jabłko i gryząc je, zagłębiła się w planie tygodniowych zajęć Duncana. Próbowwała odgadnąć, kiedy do niej zadzwoni.

W czwartki po południu grał w tenisa, wieczorami zaś wykładał na kursach... Rose postanowiła nazajutrz dowiedzieć się, czy jest na Uniwersytecie Rice jakiś kurs, na który mogłaby uczęszczać.

W piątki, jak wynikało z zapisków, Duncan nie miał żadnych zajęć. Od czasu do czasu pojawiały się tam czyjeś inicjały. Może randki...? Postanowiła dopasować inicjały do nazwisk figurujących w kalendarzyku. Patrycja Stevens. Kay Hawthorne. Jeanette Deeves. Mary Ellen Bail. Rose skopiowała nawet drobne zapiski pojawiające się przy niektórych nazwiskach. Na przykład: 5 grudnia - lubi róże, rozmiar 6. Czy to był numer sukienki? A może pierścionka?

Te kobiety to miały życie, westchnęła z zazdrością i wiedziona impulsem dopisała do tej listy swoje nazwisko i numer telefonu oraz adnotację: „Ma suknię ślubną, chce wyjść za mąż”.

Widok swego nazwiska i numeru telefonu obok innych podziałał na nią deprymująco. Poniechała zabawy z inicjałami i przeszła do planów na sobotę.

Gim. /S. Rod./, ósma piętnaście, przeczytała. Czyżby w sobotę wieczór zamierzał ćwiczyć na sali gimnastycznej? A może to było „Sym”? Symfonia? To wyglądało bardziej prawdopodobnie.

Rose sięgnęła po gazetę leżącą na nocnym stoliku. Po chwili poszukiwań znalazła zapowiedź koncertu pianisty Santiago Rodrigueza, któremu towarzyszyć miała Orkiestra Symfoniczna Houston. S. Rod.!

Nie wahając się ani chwili, Rose chwyciła słuchawkę i zadzwoniła do kasy.

Wiadomość była dobra i zła zarazem. Dobra - ponieważ bilety na koncert były w sprzedaży, ale - i to była wiadomość zła - pozostały tylko drogie miejsca w pierwszych rzędach. Rose po krótkim wahaniu podała numer swojej karty kredytowej. Trudno. Aby nasycić ducha, przez dwa najbliższe tygodnie będzie głodzić ciało.

Pójdzie więc do filharmonii. Nigdy przedtem tam nie była - domyślała się tylko, że ludzie z fascynującego świata, który otaczał Duncana, bywali tam bardzo często. W sobotę Rose wmiesza się w ten elegancki tłum.

Ale, na litość boską, co ma na siebie włożyć?

- Czarna - oświadczyli Connie i Mark zgodnym chórem.

Rose z powątpiewaniem popatrzyła na prezentowaną przez Connie sukienkę.

- Dobrze, niech będzie czarna - powiedziała po namyśle.

- Ale może inna czarna?

- Ta czarna - nalegała Connie, rozpościerając luźną, satynową suknię z długimi rękawami.

- Uczeszę cię we francuski kok - zaproponował Mark. - Stylowa fryzura podkreśli ładny kształt twojej głowy.

Rose nie zdawała sobie dotąd sprawy, że kształt jej głowy wart jest podkreślenia. Dotknęła czaszki, odczuwając jednocześnie nieznośny ból ramion. Z tego akurat doskonale zdawała sobie sprawę.

- Poza tym, to suknia do wypożyczenia, a nie do sprzedaży - przekonywała Connie. - Nie musisz czuć się wcale winna, że ją włożysz.

- Nie sądzisz, że ma zbyt wycięty dekolt?

- Nie bądź pruderyjna, Rose. - Connie wciągnęła ją za parawan. - Przymierz ją! - nakazała stanowczo.

Scena ta rozegrała się w piątek w „Zakątku Rose”.

W sobotni wieczór Rose stała przed długim lustrem w hotelowym pokoju, gotowa do wyjścia. Przedłużyła tutaj pobyt w nadziei, że Duncan do niej zadzwoni. Ale tego nie zrobił. Jutro bez względu na wszystko musi się wymeldować.

Duncan pewnie jej znów nie pozna... W tej sukni i uczesaniu w ogóle nie była do siebie podobna. Mark uczesał ją w klasyczny kok. Lśniące, kryształowe kolczyki zwisały z uszu, ramiona zaś otulała wytworna etola. Dół sukni sięgał nieco powyżej kolan.

Gdy po raz pierwszy włożyła tę suknię, Mark aż zagwizdał, ale to po wyrazie twarzy Connie poznała, że wygląda rewelacyjnie. Connie była... zazdrosna. O nią!

Oby tylko Duncan był podobnego zdania, pomyślała, przerzucając przez ramię wieczorową, wyszywaną paciorkami torebkę i schodząc do garażu. Gdy pracownik hotelu podprowadził jej krztuszący się samochód, przemknęło jej przez

głowę, że nadszedł czas na zakup nowego wozu. Duncan w końcu zauważył, że samochód, którym jeździła, nie odpowiada wizerunkowi kobiety sukcesu, ubranej w stroje od najlepszych projektantów. Szkoda, że nie prowadzi komisję samochodową, westchnęła.

Jones Hall, gdzie odbywały się koncerty, znajdował się w centrum miasta. Widok foyer wyłożonego czerwonym dywanem wzbudził w Rose przestroch. Szybko jednak wzięła się w garść i wtopiła w wytworny tłum. Przez cały czas poszukiwała wzrokiem Duncana. Powoli weszła szerokimi schodami na półpiętro. Ludzie skupieni w niewielkich grupkach popijali tam kawę, wino lub inne drinki. Rose zamówiła wodę mineralną i krążyła wśród zgromadzonych w nadziei, że spotka wreszcie Duncana. Ale nie było go. nigdzie - ani na antresoli, ani przy wejściu, ani w dolnym foyer.

Schody wiodły wyżej na balkony, Rose doszła jednak do wniosku, że Duncan nie kupiłby biletu na pozostałe miejsca.

Tak czy inaczej, albo go nie zauważyła, albo po prostu dziś wieczór nie pojawi się na koncercie.

Głęboko rozczarowana zeszła z powrotem na parter, odnalazła swój rząd i zajęła miejsce w obitym pluszem fotelu kilka metrów od sceny. Po jednej jej stronie usiadł siwowłosy dżentelmen, po drugiej zaś jakaś kobieta. Rose skinęła obojgu głową i po chwili zauważyła, że mężczyzna raz po raz wyciąga szyję i zerka w głąb jej dekoltu. Do licha, wiedziała, że dekolt był za głęboki! Teraz będzie musiała uważać, aby siedzieć prosto z przyciśniętym programem do piersi!

Jakiś ruch w loży, znajdującej się powyżej z lewej strony, przykuł jej wzrok. Pojawiła się w niej ciemnowłosa kobieta, za nią zaś wszedł mężczyzna... Duncan!

A więc nie był sam. Serce Rose przyspieszyło. Odgłosy orkiestry strojonej instrumenty właśnie umilkły, gdy intensywnie przyglądała się nieznajomej kobiecie. Czyżby to była PS? KH? A może JD? Była olśniewająca, szczupła, pewna siebie... Uosabiała typ kobiety, który pasował do Duncana, i była dokładnym przeciwień-

stwem Rose...

Rose ledwie słyszała pierwszą część uwertury. Co chwila wzrok jej wędrował w stronę siedzącej w łoży pary. Właściwie dlaczego czuła się zdradzona? Czyżby dlatego, że czekała na jego telefon, a on nie zadzwonił? Przecież nie określił dokładnie, kiedy zadzwoni... „Wkrótce” nie musiało oznaczać, że w ciągu dwóch dni...

Gdy uwertura dobiegła końca, Rose zaczęła automatycznie klaskać wraz z widownią, witając artystę ubranego w czerwony welwetowy frak. Pianista zasiadł za czarnym koncertowym fortepianem.

Usłyszała dobiegający z tyłu szept:

- On zwykle ubiera się pod kolor sali koncertowej...

Rose podobał się kontrast między jaskrawym ubraniem pianisty a czarnymi galowymi strojami orkiestry. Na kilka minut zapomniała nawet o Duncanie i jego pięknej towarzyszce. Gdy jednak rozbłysły światła, zwiastując przerwę, przypomniała sobie o celu swego przybycia. Szybko poderwała się z fotela i popędziła na półpiętro.

- Duncan! - zawołała zbyt głośno, ciężko oddychając po biegu po schodach. Kilka osób, w tym Duncan i jego urocza dama, odwróciło się i spojrzało na nią ze zdziwieniem. Rose próbowała zapanować nad oddechem.

- Witaj, Rose! - Duncan uśmiechnął się szczerze.

Zapamiętał jej imię. Poczyniła więc postępy.

- Jeanette - zwrócił się do kobiety u swego boku - oto Rose; Rose... Jeanette Deeves.

Wymieniły uścisk dłoni. Cóż, Duncan zapamiętał jedynie jej imię, pomyślała Rose. Dobrze i to na początek.

Jeanette podniosła pytający wzrok na Duncana, ten więc zaczął wyjaśniać:

- Rose jest... - Zająknął się, szukając właściwych słów, by wyjaśnić charakter ich znajomości.

- Należę do stowarzyszenia kupców w Rice Village - pospieszyła z pomocą Rose. - Jeden z klientów Duncana ma tam sklep i boryka się z poważnymi kłopotami... Mam nadzieję, że je rozwiążemy ku naszemu wspólnemu zadowoleniu. - Ostatnie słowa zabrzmiały trochę kokieteryjnie.

- To prawda. - Uśmiechnął się do obu kobiet. - Właśnie planowaliśmy spotkanie w przyszłym tygodniu, żeby przedyskutować sprawę, czyż nie?

- Nie sądzę, byśmy od razu ustalili coś konkretnego - powiedziała wymijająco, zdając sobie sprawę, że powinna pożegnać się i odejść. Nie był to odpowiedni czas ani miejsce na rozmowy o interesach. Ale cóż, znalezienie odpowiedniego momentu i miejsca było takie kosztowne...

- Czy Rachmaninow nie był wspaniały? - zmieniła temat Jeanette i roześmiała się perliście. - Ale miałabym ochotę udzielić kilku rad krawcowi Rodrigueza. Wdzieliście jego frak?

- On zwykle ubiera się pod kolor sali koncertowej - powtórzyła zasłyszaną opinię Rose. - Czerwone fotele, czerwona marynarka.

- Dobrze! - Duncan popatrzył na Rose z aprobatą. - W każdym razie potrafi zaprezentować się w najlepszym świetle i ma talent - dodał poważniej.

Jeanette uśmiechnęła się z przymusem.

Duncan ponaglił gestem, by przesunęli się do przodu, ponieważ do bufetu uformowała się długa kolejka. Rose czuła, że jest intruzem, powinna dać sobie spokój i odejść, ale nie potrafiła znaleźć eleganckiego pretekstu, by to uczynić, tym bardziej że bardzo chciała pozostać razem z Duncanem.

W pewnej chwili Jeanette otworzyła torebkę i wyjęła pager. Zerknęła nań, a potem z przepaszającym uśmiechem powiedziała:

- Muszę zadzwonić do szpitala.

- Zamówię ci coś do picia - zawołał za nią Duncan, gdy pospiesznie oddalała się w kierunku szatni. - Jeanette jest lekarzem - wyjaśnił, zwracając się do Rose - i ma dzisiaj dyżur pod telefonem. A właściwie - westchnął z żalem - zwykle jest pod

telefonem.

To dobrze, pomyślała Rose.

- Jeanette jest niezwykle oddanym lekarzem - dodał wyjaśniająco. - Czasami nawet myślę, że pracuje zbyt ciężko. Miałem nadzieję, że dziś wieczór trochę się rozerwie...

Rose nie chciała już nic więcej słyszeć o doktor Jeanette Deeves. Co więcej, pragnęła, by Duncan w ogóle o niej zapomniał. A zresztą, pomyślała, ich związek i tak skazany był na porażkę. To Rose miała być jedyną prawdziwą miłością Duncana. Najwyższy czas, by zdał sobie z tego sprawę!

- Napijesz się kawy czy wina, a może soku? - spytał, ponieważ zbliżali się do bufetu.

- Dziękuję, poproszę sok.

W tym momencie wróciła zdyszana Jeanette.

- Tak mi przykro - powiedziała - ale u jednego z moich pacjentów wystąpiła niepożądana reakcja na lek, który zaaplikowałam. - Z błagalnym wyrazem twarzy dotknęła ramienia Duncana. - Proszę, zrozum... Muszę wracać do szpitala.

Duncan uśmiechnął się półgębkiem. Rose odniosła wrażenie, że podobna sytuacja zdarzyła się nie po raz pierwszy.

- W porządku - zapewnił. - Byliśmy na to przygotowani. Przecież właśnie dlatego przyjechaliśmy dwoma samochodami.

- Dzięki - szepnęła, uniosła się na palcach i pocałowała go w policzek. Potem jeszcze czule wytarła ślad po szmince, skinęła do Rose i odeszła.

- Może być coca-cola? - spytał Duncan, podchodząc do lady.

Rose było wszystko jedno. Cieszyła się, że szczęśliwym zrzędzeniem losu Jeanette musiała odejść.

- A więc jesteś melomanką - zagaił Duncan, wręczając jej szklanekę.

- Owszem. - Rose zaczęła sączyć colę akurat w momencie, gdy przygasły światła. - Och, nie! - zaprotestowała rozczarowana. - Przecież przerwa dopiero się

zaczęła...

- Nie przejmuj się - pocieszył ją Duncan. - To pierwsze ostrzeżenie. Mamy jeszcze całe pięć minut.

Rose, patrząc na niewzruszoną minę swego towarzysza, uśmiechnęła się i uspokoiła. Była niezwykle szczęśliwa, że stoi tutaj, obok Duncana, otoczona wytwornym tłumem wielbicieli Rachmaninowa i Santiago Rodrigueza. Wiedziała, że dzięki staraniom Marka i Connie wygląda równie elegancko i światowo jak inni miłośnicy muzyki klasycznej z Houston. Wydawało się jej, że znajduje się w świecie swoich fantazji - jak Kopciuszek na balu w ramionach królewicza.

Wdzięczna losowi uśmiechnęła się szerzej do Duncana, który właśnie podniósł szklankę do ust. Napotkał jej oczy i ręka mu zamarła. Z wielce poważną miną patrzył na nią tak, jakby zobaczył coś nieoczekiwanego na jej twarzy. Gdzieś na dnie jego oczu coś zabłysło.

Rose wstrzymała oddech, zbyt ostrożna, by pokusić się o nazwanie uczucia, które dostrzegła w jego spojrzeniu.

Duncan wodził wzrokiem po jej twarzy, dłużej zatrzymał się na ustach, a potem spojrzał jej prosto w oczy. Wolno popijając colę, wpatrywał się w nią sponad szklanki.

Mimo że wyraz jego twarzy nie zmienił się, Rose czuła, że coś uległo zasadniczej zmianie. Był to sposób, w jaki na nią patrzył - tak jakby nagle zobaczył ją w całkiem innym świetle.

W rosnącym napięciu popijała małymi łykami colę, która smakowała jak najprzedniejszy szampan.

- Jesteś tutaj sama? - spytał, a w jego głosie zabrzmiała głęboka, chropawa nuta, której nigdy przedtem nie słyszała.

- Tak.

- W takim razie usiądź ze mną - zaproponował, a ciało Rose przebiegł rozkoszny dreszcz.

Światła ponownie przygasły. Duncan wyjął z ręki Rose szklanę, postawił na tacy, po czym położył dłoń na jej ramieniu.

Och, chciała zamruczeć z rozkoszy! Zamiast tego przysunęła się bliżej - tak blisko, by czuć promieniujące od niego ciepło. Zauważyła, jak doskonale do siebie pasują. Duncan był tak wysoki, że w tańcu mogła swobodnie oprzeć głowę na jego ramieniu, a gdyby się pochylił, a ona głowę odchyliła - ich usta niechybnie by się spotkały... Zadrżała na samą myśl o tym.

- Zimno ci? - Wypowiadając te słowa, nachylił się prosto do jej ucha.

Ciepły oddech omiół jej szyję i ramiona.

- Trochę - odpowiedziała, gdy zajmowali miejsca.

- Lekko przesadzili z tą klimatyzacją. - Duncan ujął jej dłoń i zaczął rozcierać w swojej. Gdy światła przygasły, nadal trzymał jej rękę.

Rose pragnęła, by chwila ta trwała wiecznie. Ale gdy na podium pojawił się dyrygent, musiała zacząć klaskać wraz z widownią. Ku jej ogromnemu rozczarowaniu Duncan nie sięgnął ponownie po jej dłoń.

Pragnęła rozmarzyć się do końca, ale muzyka jej to uniemożliwiła. Zamiast romantycznej, spokojnej melodii, zagrano hałaśliwy, dudniący utwór perkusyjny.

Auditorium było oczarowane, Rose natomiast... znudzona. Nawet świadomość, że Duncan siedzi obok niej nie rozpraszała senności. Na szczęście, za każdym razem, gdy miała jej opaść głowa, jakiś piszczący lub brzęczący instrument wybijał ją z drzemki. Nie, utwór niewiele miał wspólnego z muzyką. Przypominał katastrofę pociągu!

Kątem oka Rose usiłowała obserwować Duncana. Wpatrywał się w scenę jak zahipnotyzowany, z palcem przyciśniętym do ust. Jakże mógł znieść tę kakofonię dźwięków?

Rose pochyliła się nad programem, by przeczytać tytuł utworu. *Moderno 3*. Co to znaczyło?

Gdy chwilę później piekielny hałas ustał, rozległy się wokół gorące brawa.

Ciekawe, skąd publiczność wiedziała, że nastąpił koniec? Rose, chcąc nie chcąc, przyłączyła się do publiczności, która na stojąco zgotowała artystom owację.

Duncan też wstał.

- To było cudowne, znakomite! - wołał z entuzjazmem.

Gdy dyrygent raz jeszcze wyłonił się zza kulis, rozległy się okrzyki zachwytu. Duncan się do nich przyłączył. Rose klaskała w milczeniu, bardziej z uprzejmości niż entuzjazmu. Nie zamierzała wiwatować na cześć muzyki, która przywodziła na myśl ryk samochodu jadącego na taniej benzynie.

- Prawda, że krew szybciej płynie w żyłach? - spytał podniecony Duncan, gdy mogli wreszcie usiąść.

- Och, tak - zapewniła go nieszczercze.

Przynajmniej nie czuła już senności.

Zadowolony, że może dzielić z kimś radosne przeżycia, Duncan rozsiadł się wygodnie i wyciągnął ramię na oparciu fotela. Rose, odchyliwszy się lekko do tyłu, poczuła na szyi dotyk jego ciepłych palców. Westchnęła z wrażenia.

Musiał usłyszeć to westchnienie płynące z głębi serca, ponieważ gdy orkiestra zaczęła grać ostatni tego wieczoru utwór, położył dłoń na jej ramieniu.

To była długo wyczekiwana, czarowna chwila. Rose nie mogła nadziwić się swemu szczęściu. Gotowa była całą wieczność słuchać tej zgrzytającej maszyny, jeśli wprawiała Duncana w taki romantyczny nastrój.

Wszystko, co dobre, jednak krótko trwa. Koncert dobiegł końca. Tym razem aplauz Rose był szczery; naprawdę pragnęła zachęcić dyrygenta do zagrania jeszcze jednego utworu, ponieważ dzięki temu mogła spędzić z Duncanem więcej czasu.

Na bis orkiestra zagrała porywającego marsza Johna Philipa Sousa. Nawet Rose rozpoznała melodię. Co prawda, nie była to muzyka nastrajająca romantycznie, ale rozweseliła zarówno ją, jak i resztę widowni.

- Wspaniały koncert! - skomentował Duncan, gdy wstali. - Jak ci się podobało

Moderno 3?

Z pewnością nie zanucę go jutro rano, pomyślała. Gdyby czuła się pewniej u jego boku, być może by mu to powiedziała. Poszukała jednak właściwszych słów.

- Dla mnie to było... intrygująco podniecające - powtórzyła zasłyszany niedawno komentarz na temat jakiegoś dzieła sztuki.

- Och! - Duncan wydawał się bardzo poruszony tą obserwacją. - Właśnie! - Uśmiechnął się zagadkowo. - Ty również mnie intrygujesz, Rose...

- Przynajmniej dobrze, że cię nie podniecam.

Wybuchnął śmiechem.

Gdy opuścili łóżę i wolno schodzili po szerokich schodach, zapytał:

- Co powiesz, byśmy w przyszłym tygodniu przedyskutowali twoje pomysły na temat Bread Basket podczas partii tenisa? Grasz w tenisa?

- Uwielbiam tenis! - Nawet się nie zająknęła.

Przecież, na litość boską, wreszcie się z nią umawiał! Umawiał się z nią na randkę!

Duncan uśmiechnął się z satysfakcją.

- Sprawdzę w kalendarzu i zostawię ci wiadomość w hotelu - oznajmił.

Rose nagle zrobiło się słabo. Nie zamierzała dłużej zostawać w hotelu... Trudno, będzie więc musiała ponownie wynająć pokój we czwartek.

- Dobrze, zostaw wiadomość. Ale wyjeżdżam na dwa dni... zrobić zakupy do butiku - skłamała.

Gdy zmierzali w stronę parkingu, modliła się w duchu, by znów nie zechciał odprowadzić jej do samochodu.

- Zaparkowałam tutaj - powiedziała, gdy po zejściu dwóch pięter w dół, znaleźli się na poziomie, gdzie zostawiła samochód.

- Odprowadzę cię...

- Och, nie trzeba - zaprotestowała. - Stoję tutaj... - Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku w nadziei, że gdzieś w pobliżu znajduje się jakiś szary samochód.

A gdy Duncan otworzył przed nią drzwi, dodała z naciskiem: - Naprawdę, idź już. Unikniesz korków przy wyjeździe.

- Rose... - Twarz Duncana zdradzała determinację i zdumienie.

Położyła mu dłoń na ramieniu; drzwi zamknęły się ze szczękiem.

- Miło spędziłam czas w twoim towarzystwie - powiedziała łagodnie. - Może moglibyśmy pójść razem na jeszcze jeden koncert?

- Bardzo chętnie. - Głos jego brzmiał szczerze, a oczy promieniały ciepłem.

Postąpił krok w jej stronę, schodząc z drogi zbliżającym się ludziom.

Przez ułamek sekundy, gdy tak stali wpatrzeni w siebie, Rose pomyślała, że ją pocałuje. Ale właśnie wtedy ktoś ich potrącił i Duncan musiał się odsunąć.

- W takim razie zagramy w tenisa we wtorek lub w środę, zgoda? - Jeszcze raz otworzył przed nią drzwi na parking.

- Doskonale! - Rose starała się, by jej głos brzmiał entuzjastycznie. Na panikę przyjdzie czas później. - Chociaż powinnam cię ostrzec, że wyszłam trochę z wprawy - dodała tak beztrąsko, jakby przyszło jej to nagle do głowy.

- Będę wyrozumiała - zawołał, gdy zamykały się za nią drzwi.

Rose pomachała mu ręką i uśmiechała się, aż do momentu gdy zniknął w korytarzu. Dopiero wtedy poczuła strach.

Trochę wyszła z wprawy! Przecież w ogóle nie grała w tenisa. Ostatni raz trzymała w ręku rakietę na koloniach letnich, gdy miała dziewięć lat!

Przypomnę sobie podstawowe zasady gry, gdy trochę poćwiczę, pomyślała z nadzieją.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Źle.

- Nie możesz zadzwonić do tego faceta i po prostu wyjaśnić, że bardziej wysłaś z wprawy, niż sądziłaś?! - krzyknęła zniecierpliwiona Connie do Rose na publicznym korcie w Village Park.

- Nie! - jęknęła Rose, trafiając piłką prosto w siatkę. - Po raz pierwszy się ze mną umówił. Jeśli mu powiem, że nie gram w tenisa, to nie wiem, kiedy znów mi coś zaproponuje!

Connie zeszła z kortu, żeby napić się wody z butelki. Rose nie przyniosła ze sobą wody, myśląc, że będzie piła z kranu, ale, jak zauważyła, przynoszenie ze sobą czegoś do picia było w dobrym tonie. A Rose w towarzystwie Duncana pragnęła zadać szyku.

- Kim jest ten mężczyzna? - spytała Connie, wycierając usta.

- Pamiętasz, jak szukałam sposobu na właściwą reklamę dla „Zakątka Rose”? - powiedziała po chwili namysłu. - To właśnie mężczyzna, z którym się konsultowałam.

- I teraz on się z tobą umawia! - Connie klasnęła w dłonie. - Trzymam kciuki. Całe szczęście, że zrezygnowałaś z tego... horrendalnego Horacego!

- Horacy wcale nie jest horrendalny - broniła się Rose, ale w głębi duszy rozbił ją epitet, którym obdarzyła go Connie.

- Ależ jest - powtórzyła Connie, podnosząc raketę i wskazując Rose drugą stronę kortu. - Zmiana miejsc!

- Dlaczego?

- Twój strzał utkwił w siatce, a to oznacza koniec seta.

- Tak szybko?

- Na ogół sety trwają dłużej, ponieważ obydwaj gracze odbijają piłkę - powiedziała zgryźliwie Connie.

Rose popatrzyła na pobliski kort, gdzie czworo dzieci rozgrywało debła.

- Zobacz, oni mają połowę mniej biegania niż ja - poskarżyła się, ciężkim krokiem przechodząc na drugą stronę kortu.

Connie westchnęła tak głęboko, że Rose usłyszała ją z daleka.

Było słoneczne, niedzielne popołudnie. Connie miłosiernie poświęciła wolny dzień, by pomóc szefowej podszkolić się w grze w tenisa. Teraz żałowała swej decyzji.

- Mój serw! - Connie podniosła do góry dwie piłki.

- Co robisz? - zdziwiła się Rose.

- Pokazuję ci piłki - odparła Connie zrezygnowanym tonem - ponieważ są to nowe piłki. Taki jest zwyczaj.

Zbyt wiele szczegółów tej gry umknęło uwagi Rose.

- A co ja mam robić? - spytała niepewnie.

- Wszystko, co masz zrobić, to odbić piłkę!

Nie było to wcale proste. Należało uderzyć w piłkę i w dodatku trafić nią w obwiedzione linią pole. Tę zasadę zapamiętała aż nadto dobrze.

W niedzielę rano, gdy Rose pojawiła się w hotelu Post Oak, żeby zarezerwować pokój na czwartek, dowiedziała się, że nie tylko przyjmą dla niej wiadomości, ale w dodatku zrobią to z przyjemnością. Jak widać, dbali o stałych gości, a prośba Rose nie należała do niezwykłych.

Gdy więc zadzwoniła w poniedziałek rano, przekazano jej wiadomość od Duncana, że zarezerwował kort w hotelu na wpół do piątej w środę. Odpowiadały mu, jak widać, późne popołudnia. Rose domyślała się dlaczego. O tej porze większość pracy zaplanowanej na dany dzień miał już za sobą; był zmęczony umysłowym wysiłkiem i potrzebował relaksu.

Jeśli zaś chodzi o korty... Nawet nie wiedziała, że hotel dysponuje również kortami ziemnymi. Tak czy inaczej, z ciężkim westchnieniem zarezerwowała pokój w hotelu na środę.

W poniedziałkowe popołudnie udała się do „My Lady Sports” przy Buffalo Bayou Mall, gdzie kupiła biały z zieloną lamówką strój do tenisa oraz pasujące doń skarpetki, opaskę na rękę, buty i - na wyraźne naleganie Marka - opaskę na głowę. Rakiety wypożyczyła od koleżanki Connie, zadowolona, że przynajmniej na tym może zaoszczędzić. Ponadto musiała kupić dwa opakowania piłek, specjalną butelkę na wodę oraz ręcznik w takim samym odcieniu zieleni jak lamówki przy szortach, a także biało-zieloną torbę do noszenia tego całego sprzętu. Gdy zobaczyła rachunek, zamrugała tylko powiekami z wrażenia, ale bez słowa podała kartę kredytową. Inwestujesz w swoją przyszłość, pocieszała się w duchu.

Niestety, we wtorek rano koleżanka Connie poprosiła o zwrot rakiety, Rose udała się więc do komisju ze sprzętem sportowym. Cena, jaką zapłaciła za używaną rakiety, przechodziła najśmielsze oczekiwania. Trudno, pomyślała z rezygnacją. I zaraz pocieszyła się myślą, że jeśli Duncan zaprosi ją ponownie na tenisa, przynajmniej już będzie wykwapowana.

Tego samego dnia po południu otrzymała telefon z banku. Sprawdzano, czy przypadkiem nie ukradziono jej karty kredytowej, ponieważ na rachunku zaobserwowano niespotykany ruch. Rose potwierdziła wszystkie wydatki, a przy okazji dowiedziała się, ile ją kosztowały zabiegi o względy Duncana. Lepiej o tym zapomnieć, pomyślała z determinacją. Bez względu na wszystko zamierzała nadal wydawać pieniądze.

Zgodnie z tym postanowieniem wieczorem raz jeszcze wyciągnęła kartę kredytową, by zapisać się na kurs „umiejętności podziwiania sztuk plastycznych” na Uniwersytecie Rice. Zajęcia odbywały się w czwartki wieczorem, co prawda pół godziny wcześniej niż wykład Duncana, ale i tak miała szczęście, że były jeszcze miejsca na kurs w tym właśnie dniu. To dawało mnóstwo możliwości „przypadkowych” spotkań z Duncanem.

Po powrocie do domu poszła do kantorku, by wreszcie nadrobić zaległości, jakie powstały w „Zaułku Rose” w wyniku jej częstych nieobecności. Czekwały na

nią decyzje, których Connie sama nie mogła podjąć. Rose osobiście musiała postanowić, które z zaoferowanych rzeczy można było przyjąć w komis, które natomiast kupić do wypożyczalni. Poza tym, zbliżał się sezon balów maturalnych, a w tym okresie Rose zwykle reklamowała sklep w szkolnych gazetkach. Musiała napisać teksty reklam.

Duncan oczywiście mógłby jej w tym pomóc, ale Rose nawet nie śmiałyby o to poprosić. Jej związek z Duncanem miał zgoła inny charakter... Poza tym zaprezentowała się jako kobieta interesu, która osiągnęła sukces - co w pewnym sensie było prawdą, tylko nie na taką skalę, jak Duncan prawdopodobnie sobie wyobrażał.

Na razie wolała nie wystawiać go na próbę prawdy. Zresztą, miała bardziej palące problemy.

Przede wszystkim była zdenerwowana perspektywą gry w tenisa. Oczyma wyobraźni widziała Duncana grającego ze swym partnerem; widziała, jak z poświęceniem wybiegał do każdej piłki, podniecony współzawodnictwem. Miał mocne strzały i - jak sam przyznał - nie przywykł do porażek.

Rose była na porażkę skazana.

- Jak tam podróż? - spytał, całując Rose na przywitanie w policzek.

Pocałował ją! Wiedziała, że nie powinna traktować tego pocałunku zbyt serio, a jednak nie mogła pohamować radości.

- Znalazłam kilka świetnych sukni na bale maturalne - pochwaliła się, zadowolona, że przynajmniej raz może powiedzieć prawdę. - To bardzo gorący sezon.

- W takim razie jestem podwójnie szczęśliwy, że znalazłaś dla mnie czas.

Rose ze wzruszeniem spojrzała na stojącego przed nią ciemnowłosego mężczyznę. Zawsze i wszędzie, pomyślała. Żałowała, że brakuje jej odwagi, by powiedzieć to na głos.

Gdy znaleźli się na kortach należących do hotelu Post Oak, z radością spostrzegła, że Duncan zerka na nią z podziwem.

Dobrze, że pozwoliła Markowi się uczesać. Sama ściągnęła włosy w mocny

koński ogon, ale Connie, gdy tylko na nią spojrzała, wezwała Marka.

Mark zamruczał coś o jej płaskiej głowie - o czym Rose w ogóle nie wiedziała - po czym luźno zebrał włosy do tyłu i podtapirował kosmyki, które teraz w zamierzonym nieładzie opadały na opaskę.

Rose była doskonałym przykładem przerostu formy nad treścią. Duncan natomiast był formą i treścią zarazem. Szczególnie treścią. Jego oślepiająco biała tenisowa koszulka, szorty oraz dwie opaski, z niedbałą elegancją założone na nadgarstek, przyprawiły Rose o podniecający skurcz serca. Poprawiła torbę przerzuconą przez ramię. Zastanawiała się, czy uda jej się choć kilka razy trafić w piłkę, jeśli bardzo mocno skoncentruje się na grze. Duncan powiedział przecież, że potraktuje ją łagodnie...

- Jak długo grasz? - zapytał Duncan.

- Niedługo. - Mimo że kwietniowe słońce mocno przygrzewało, przez ciało Rose przebiegały zimne dreszcze. Connie miała rację. Powinna przyznać się Duncanowi, że w ogóle nie potrafi grać. - Wiesz - zaczęła z lekkim uśmiechem - szczerze mówiąc, nie gram zbyt dobrze.

- Och, wiem. - Duncan uśmiechnął się szeroko, pokazując olśniewająco białe zęby. - Ilekroć to słyszę, wiem, że przegram z kretesem.

Położyli sprzęt na ławce oddzielającej dwa korty. Sąsiedni kort zajmowała jakaś para. Gdy Rose wyciągnęła raketę z torby, mężczyzna ustawił się za kobietą i przytrzymując jej raketę, zademonstrował uderzenie z bekhendu. Potem powtarzali ten ruch kilka razy. Najwyraźniej uczył swą partnerkę gry w tenisa. Stali bardzo blisko siebie.

Jakże proste rozwiązanie! Dlaczego od razu na to nie wpadła?! Dlaczego od razu nie powiedziała, że nie gra, ale zawsze marzyła, by grać w tenisa... Może nauczyłbyś mnie podstaw...? Mężczyźni uwielbiają demonstrować swą wyższość...

Rose miała szczerą ochotę stuknąć się raketą w głowę.

Zakup używanej rakiety także nie był dobrym pomysłem. Duncan mógł dojść

do wniosku, że rozegrała nią już wiele zaciętych partii...

- Pozwól. - Wyciągnął rękę po jej rakieta.

Podala ją w milczeniu, obserwując, jak z uwagą sprawdza jej ciężar i naciąg. Wziął zamach i uderzył wyimaginowaną piłkę z takim impetem, że Rose skuliła się w sobie, słysząc świst powietrza przelatującego przez siatkę.

Zgubiona. Była zgubiona, i żaden elegancki, firmowy strój do tenisa nie ocali jej w oczach Duncana.

- W porządku. - Duncan oddał jej rakieta. - To profesjonalna rakietka poważnego gracza - skomentował i dodał z filuternym uśmiechem: - Nie myśl, że tak łatwo dam się nabrać.

Rose ujęła rakieta, zauważając, że uchwyt nadal był ciepły od jego uścisku. Jej dłoń zaś była zimna jak lód.

- Wybierasz serwis czy kort? - spytał.

To się działo naprawdę i nic nie było w stanie przerwać biegu wydarzeń.

- Serwuj pierwszy - powiedziała z drżeniem w głosie.

W tym stanie nawet nie uda jej się przerwucić piłki przez siatkę...

Odwróciła głowę i przez moment wyobrażała sobie, jak Duncan serwuje piłkę, ona zaś ze zręcznością zawodowca ją odbija. Ale przecież wcale nie musiała zrobić tego perfekcyjnie. Żeby tylko odbić piłkę ponad siatką! Potrafi to zrobić. Musi...

Rose tak bardzo się skoncentrowała, że zapomniała otworzyć oczy. W następnej sekundzie czubek jej nieskazitelnie nowego buta zahaczył o coś, a ona sama upadła twarzą na ziemię.

- Rose!

Uniosła głowę i zobaczyła, jak Duncan przesadza siatkę i biegnie ku niej. Mimo rozpaczliwego położenia, o dziwo, była jeszcze w stanie docenić jego sprężystą sylwetkę w ruchu.

- Wszystko w porządku? - zapytał zdyszczanym głosem.

- Chyba tak... - Prócz zażenowania i śladów brudu na ubraniu nie odczuwała żadnych następstw upadku.

- Do licha, tylko spójrz! - powiedział zirytowany, wskazując na wyrwę w podłożu; ze złością uderzył w nią czubkiem buta. - Powinni bardziej dbać o korty! - Przyklęknął i wsunął ręce pod jej ramiona, żeby mogła usiąść.

Wygodnie oparta o jego klatkę piersiową, pomyślała, że może nie warto zbyt szybko oświadczać, że nic się nie stało... Ostrożnie poruszyła łokciem i otrzepała dłonie. Duncan chwycił je i przyjrzał im się uważnie. Na skórze widać było drobne zadrapania, ale żadne z nich nie krwawiło. Gdy przesunął po nich palcem, Rose poczuła słodki dreszcz na całym ciele.

- Miałaś szczęście - powiedział z uśmiechem.

- Tak - wyjąkała. - Miałam szczęście...

Twarz Duncana była tak blisko, że mogła podziwiać długie rzęsy ocieniające niebieskie oczy - oczy, które patrzyły teraz prosto w jej własne.

Rose nie śmiała się poruszyć. Chciała, by chwila ta trwała wiecznie. Chciała, by Duncan był zawsze przy niej. Zawsze.

Czuła dziwny ucisk w klatce piersiowej, który przeszkadzał w oddychaniu; wydawało jej się, że dziko walące serce wprawia w drżenie ramiona. Czy Duncan wyczuwał to drżenie...?

Uniósł lekko kąciki ust. Potem delikatnie musnął wierzchem dłoni jej policzek, wreszcie starł palcem kurz z jej twarzy.

- Masz kort tenisowy na twarzy - zażartował.

- Nic dziwnego. - Rose sama otarła drugi policzek.

- A co z resztą ciała? - Pochylił się niespodziewanie do przodu i zaczął badać jej kostkę.

Czuła w nozdrzach upajający zapach męskiej wody toaletowej i rozpaczliwie pragnęła przytulić się do niego... Pragnęła, by ją dotykał... Westchnęła z tęsknotą.

- To boli?

- Nie... - Nie mogła go przecież oszukiwać.

- Jesteś pewna? - Dotyk jego palców wprawiał ją w drżenie. - A tutaj? - Naciśnął miejsce tuż nad kostką, wpatrując się w jej twarz.

- Naprawdę, czuję się dobrze - zapewniła.

- Spróbujesz się podnieść?

Objął ją w talii, ona zaś, przytrzymując się jego ramienia, ostrożnie wstała. Och, jakże był silny, dawał jej poczucie pewności i bezpieczeństwa... Czowała się w jego ramionach niezwykle kobieco i pragnęła przedłużyć ten moment.

- Powoli zwiększaj nacisk na tę stopę - pouczał.

Powiedział „powoli”. Rose bardzo wolno i bardzo niechętnie próbowała stanąć o własnych siłach. Duncan ciągle jeszcze przytrzymywał ją w pasie.

Zastanawiała się, dlaczego nie ma odwagi go pocałować i mieć to już za sobą? Dlaczego ciągle nie była na to pora? Kiedy więc nadejdzie odpowiedni moment?

Nigdy dotąd nie doświadczała takich wrażeń zmysłowych, a już z pewnością nie z „horrendalnym” Horacym. Jego pożegnalne pocałunki po każdej randce znosiła cierpliwie w nadziei, że następne będą bardziej podniecające. Ale nie były. Z Duncanem natomiast chciała jak najszybciej przystąpić do pocałunków...

Gdy stanęła wreszcie całym ciężarem na własnych nogach, ręce Duncana opadły. Och, do licha!

- W porządku? - spytał.

- Tak... - Ledwie mogła wydobyć głos; nie ufała sobie na tyle, by spojrzeć mu w oczy.

- Spróbuj przejść parę kroków.

W momencie gdy postąpiła krok do przodu, Duncan znów wziął ją pod ramię. Z wrażenia głęboko wciągnęła w płuca powietrze.

- Wiedziałem! - zawyrokował. - Nie czujesz się dobrze, ale chwala ci za to, że starałaś się udawać.

- Duncan, naprawdę...

- Nie udawaj! - Otoczył ramieniem jej plecy i pomógł dojść do ławki. - Na dzisiaj koniec z tenisem - oświadczył.

- Nie będziemy grać? - powiedziała z udawanym żalem.

- Absolutnie nie.

Nie będą grać w tenisa! Hurra!

Rose na dobre zaczęła kuleć. Przeznaczenie raz jeszcze przyszło jej z pomocą.

Duncan spakował sprzęt, zarzucił obie sportowe torby na ramię i wyciągnął dłoń do Rose. Usiłowała sobie przypomnieć, na którą nogę utyka.

- Zamierzam porozmawiać z dyrektorem hotelu na temat stanu tutejszych korytarzy - pomstował.

Rose milczała. Co prawda, nic jej się nie stało, ale ktoś inny mógł mieć mniej szczęścia.

- Ostatnio padało - zauważyła łaskawie. - Może nie wiedzą, że na korytarzu powstała szczelina.

- Mają szczęście, że trafiło na ciebie. - Duncan ścisnął jej ramię. - Ktoś inny już wzywałby adwokata.

- Wypadki chodzą po ludziach - stwierdziła filozoficznie.

- Gdyby tylko inni tak myśleli! - odparł tonem aprobaty.

W hotelowym holu recepcjonista poderwał się na ich widok zza kontuaru. Jedno spojrzenie na twarz Duncana wystarczyło, by przeczuł nieprzyjemności.

- Czy mogę państwu w czymś pomóc? - spytał uprzejmie.

- Panna Franklin potknęła się o szczelinę na korytarzu - warknął Duncan tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, kogo uważa za odpowiedzialnego za ten wypadek. - Czy w hotelu jest lekarz?

- Och, Duncan, proszę... - Rose była przerażona perspektywą konfrontacji z lekarzem, a zarazem pełna podziwu dla stanowczości i operatywności Duncana. Zachowywał się jak człowiek przywykły do wydawania rozkazów.

Patrzył teraz na nią surowo, po męsku.

- Rose, pozwól, bym sam się tym zajął.

Po chwili, ku wielkiej uldze Rose, okazało się, że hotelowy lekarz ma dziś wolny dzień. Duncan skwitował ten fakt kilkoma cierpkimi uwagami. Nadal pomstując pod nosem, przykleknął przed Rose - uznała tę pozycję za symboliczną - i ostrożnie odwinął na jej stopie zieloną skarpetkę.

- Już robi ci się siniak! - Ze zgrzytem wciągnął powietrze. - Gdzie jest lód?! - krzyknął na portiera, który już kilka chwil temu zniknął na zapleczu. - Siedź tu. - Posadził ją na miękkim fotelu. - Sprawdźę, gdzie on się podział. Rozsznuruj but! - rozkazał.

Gdy Duncan zniknął za drzwiami, Rose po raz pierwszy z uwagą przyjrzała się swojej stopie. Nie bolała, ale może jednak coś stało się w środku? Zdjęła but, a potem skarpetkę. Stopa była sinozielona.

Skarpetka! Skarpetka zafarbowała i zabarwiła stopę oraz wnętrze buta... To odkrycie w dziwny sposób podniosło ją na duchu. Włożyła z powrotem skarpetkę i but. Skarpetki nie były firmowe, ale pasowały do zielonej obwódki na szortach i koszulce. Dlatego je kupiła. Powinna je uprać przed włożeniem...

- Już mam! - Duncan zademonstrował torbę z kawałkami lodu. - Wziąłem od barmanki. Portier szuka apteczki pierwszej pomocy. - Owinął torbę ręcznikiem i delikatnie przyłożył ją do stopy Rose. - Boli? - spytał znów.

- Nic nie czuję - odparła zgodnie z prawdą.

- Na ból przyjdzie czas później. - Duncan zmarszczył brwi. - Znam się na tym. - Wstał, przysunął sobie fotel i usiadł.

- Często miewałeś urazy podczas uprawiania sportów? - Starła się odwrócić jego uwagę od znajdującej się w nienaruszonym stanie, acz zielonej stopy.

Duncan wyciągnął nogę i z wyraźną dumą pokazał białe blizny po szwach.

- Ten wypadek był najgroźniejszy - objaśnił. - W college'u zerwałem ścięgno i musiałem poddać się operacji. - Uśmiechnął się zawadiacko. - Być może po-

wstrzymało mnie to od popełnienia głupstwa, na przykład zostania zawodowcem.

- Byłeś rozczarowany?

- Niedługo. - Przesunął wzrok na kogoś, kto pojawił się z tyłu za Rose. - Oto mamy bandaże!

Portier podał kilka opatrunków.

- Ten wystarczy - powiedział Duncan, rozdzierając opakowanie. - Co prawda, nie jestem lekarzem - zwrócił się do Rose, kładąc jej nogę na swoim kolanie - ale bandażowałem już w życiu kilka kostek.

- Myślę, że robisz wokół mnie zbyt wiele zamieszania - powiedziała, gdy portier zniknął na zapleczu.

- Zobaczysz, że jutro nawierzchnia kortu zostanie naprawiona - odparł, sprawnymi ruchami owijając bandaż wokół kostki. - Spróbuj teraz.

Rose wstała.

- Czuję się świetnie.

Jakżeby mogło być inaczej! Miotaly nią sprzeczne uczucia - poczucie winy, a zarazem ulga, że nie musi grać w tenisa.

- Na szczęście nie widać opuchlizny - skomentował, biorąc lód i wstając. - Co powiesz na wspólną kolację? O ile pamiętam, mieliśmy dziś omówić promocję supermarketów Bread Basket.

- Kolacja, to cudowny pomysł! - ucieszyła się Rose.

Pomysł był nie tylko cudowny, ale wprost magiczny. Nadal ubrani w stroje tenisowe, Rose i Duncan usiedli w hotelowej restauracji. Rozmowa dotyczyła wszystkiego, z wyjątkiem Bread Basket. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej Rose nabierała przeświadczenia, że Duncan był jej przeznaczeniem.

Usiłowała ustalić, kiedy jej uczucia do niego przerodziły się w prawdziwą miłość i doszła do wniosku, że kocha go od pierwszej chwili, gdy go poznała.

Nie powinno się wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia. To fakt. Przynajmniej, jeśli w grę miała wchodzić prawdziwa miłość. Miłość powinna narastać i

pogłębiać się w miarę upływu czasu.

Ale gdy Duncan śmiał się z czegoś, co powiedziała, albo gdy jego oczy jaśniały entuzjazmem, jeśli wyrazili podobną opinię, Rose wydawało się, że nie można kochać bardziej niż ona teraz kocha i że kocha go tak samo od pierwszej chwili. I tak było.

Trochę zażenowana wyznała Duncanowi, że zapisała się na kurs zgłębiania tajników sztuk plastycznych. Woląca, by nie był zaskoczony, gdy się spotkają na uniwersytecie.

- W czwartki wieczorem wykładam marketing na tym samym uniwersytecie - wspomniał, zgodnie z oczekiwaniem Rose. - To trzyma mnie w formie i pozwala poznać rodzące się talenty.

- Przyszłą konkurencję? - zapytała rezolutnie.

Wybuchnął szczerym śmiechem.

- Tylko wówczas, jeśli wcześniej sam ich nie zatrudnię.

Rose nie mogła sobie wyobrazić większego szczęścia niż praca razem z Duncanem.

- A więc zamierzasz pogłębić swoją wiedzę o sztuce? - podchwycił.

- Tak, oraz o samych artystach. - Była to prawda.

Pragnęła dowiedzieć się możliwie najwięcej, by móc prowadzić błyskotliwą konwersację. Oczyma wyobraźni widziała spotkania w małym gronie eleganckich przyjaciół Duncana. Tacy ludzie z pewnością rozmawiali o sztuce.

Duncan skinął na kelnera.

- Napijesz się kawy? - zwrócił się do Rose.

Wybrała cappuccino.

- Moim zdaniem artyści są zbyt... artystyczni - powiedział ze śmiechem Duncan.

- Co masz na myśli?

- Och, wiesz... cały ten tłum krążący na ich orbicie.

Jakiej orbicie? Gdy Rose starała się zrozumieć sens słów Duncana, kelner przyniósł cappuccino.

- Och, jak wspaniale pachnie! - zachwyciła się.

Przymknęła oczy i z lubością wciągnęła w nozdrza aromat.

- To właśnie najbardziej mi się w tobie podoba - powiedział Duncan z prawdziwą szczerością w głosie. - Potrafisz cieszyć się najzwyklejszymi rzeczami. Gdy z tobą przebywam, sam nabieram radości życia. - Nieoczekiwanie położył rękę na jej dłoni. - Nigdy się nie zmieniaj, Rose.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Rose! - zawołał za nią Duncan, gdy szła przez dziedziniec kampusu.

- Duncan? - Było już po siódmej, a więc spóźnił się na wykład. Całkiem do niego niepodobne.

Rose przystanąła.

Był zdyszany, ale wyglądał cudownie. Jak zwykle atmosfera wokół niego zdawała się kipieć energią i podnieceniem. Po prostu życie. Ona również w jego obecności czuła się niezwykle ożywiona.

- Jak twoja kostka? - Pochylił się i spojrzał w dół.

- Doskonale. - Zabandażowała ją na wypadek spotkania z Duncanem. - Mam wrażenie, że w ogóle jej nie wykręciłam - dodała, wyciągając stopę i poruszając nią w różnych kierunkach.

- Szybko dochodzisz do zdrowia - skwitował.

- Chyba tak - bąknęła i prędko zmieniła temat: - Duncan, twój wykład powinien rozpocząć się kwadrans temu!

- Tak. - Zerknął na zegarek. - Wyładował mi się akumulator w samochodzie. Jakiś defekt w instalacji elektrycznej. Ale chciałem cię spytać, czy wybierasz się w sobotę na wystawę do Janeway Gallery?

Nie pojmowała, o jakiej wystawie mówił.

- Nie miałam tego w planach - odparła.

Duncan skrzywił się z niesmakiem.

- Masz rację, też nie lubię tych dobroczynnych imprez, ale ponieważ nasza agencja jako dar zaprojektowała zaproszenia, muszę się tam pokazać. Pójdiesz ze mną?

- Z ogromną chęcią. - Miała wrażenie, że stąpa po cienkim lodzie.

- Wspaniale! Poznasz kilku moich przyjaciół. Zatelefonuję do ciebie! - I pobiegł w kierunku wejścia.

Poznasz kilku moich przyjaciół...

Uśmiech zamarł na twarzy Rose. Ogarnęła ją panika. Co sobie o niej pomyślała? Co pomyśla o Duncanie, gdy ją przyprowadzi? A jeśli się czymś skompromituje?

Czy Duncan nie będzie zdziwiony, że nikt z towarzystwa jej nie zna? Co będzie, jeśli jej nie zaakceptują? Albo jeszcze gorzej - jeśli ktoś rozpozna w niej zwykłą Rose ze sklepiku z używaną odzieżą?

Jak zamroczona weszła do sali wykładowej. Na szczęście potrafiła nad sobą zapanować i wkrótce zaczęły do niej docierać słowa wykładowcy. Kurs rozpoczął się od omówienia sztuki antyku - tę część zajęć Rose straciła - a teraz posuwano się chronologicznie naprzód aż do sztuki współczesnej.

To było dla Rose nowe i niezwykle interesujące doświadczenie. Dlaczego nigdy dotąd nie wpadła na pomysł, by uczęszczać na takie kursy? Były również inne - poświęcone muzyce lub literaturze. Postanowiła ukończyć je w przyszłości. Nabierze takiego polom, że wkrótce wprawi w podziw Duncana i całe jego towarzystwo.

Szkoda tylko, że nie uda jej się zaliczyć wszystkich kursów przed sobotnim wieczorem...

Rose źle spała w piątkową noc, mimo że wreszcie mogła wyspać się we wła-

snym łóżku. Dziś był ten wieczór! Dziś Duncan przedstawi ją swoim przyjaciołom... i Rose oficjalnie wkroczy do jego świata.

Była zachwycona i przerażona jednocześnie.

- Masz znów randkę? - spytała stojąca za kontuarem Connie. - Już od pół godziny snujesz się pomiędzy wieszakami.

- Coś w tym rodzaju - mruknęła Rose pod nosem. Do licha, dlaczego wszystkie stroje mają naszyte perełki! Rose nie chciała dziś perełek. Nie zamierzała błyszczeć, przeciwnie - wołała nie wyróżniać się z tłumu.

- Co tym razem? Mecz polo?

- Bardzo śmieszne. - Rose skrzywiła się z niesmakiem.

Connie uznała jej upadek na korcie za niebywale śmieszny. Też coś! Była święcie przekonana, że Rose wszystko ukartowała!

- Zdradź mi więc, dokąd się wybierasz? - dopytywała się Connie.

- To jakaś wystawa w Janeway - burknęła Rose, z westchnieniem sięgając po czarną suknię, którą miała na sobie w filharmonii.

- Żartujesz! - Książka wypadła Connie z rąk Rose spojrzała ze zdziwieniem na przyjaciółkę.

- Nie... - zająknęła się. - Dlaczego...?

- To dobroczyzna impreza dla najwyższych sfer! - zawołała przejęta wiadomością Connie.

- Myślałam, że to zwykłe spotkanie towarzyskie... - Rose zrobiło się słabo.

- W żadnym razie! Będzie tam śmietanka towarzyska, sami wybrańcy niebios!

- Connie zamknęła książkę i wyszła z za lady.

- Odłóż tę czarną sukienkę - oświadczyła kategorycznie. - Już cię w niej widział. Potrzebujesz czegoś innego, oryginalnego i ekstrawaganckiego, ponieważ nie masz prawdziwej biżuterii.

- Założę kryształowe kolczyki - wtrąciła Rose. - Są dobrej jakości.

- Rose, jesteś beznadziejna! - Connie zdjęła z wieszaka błyszczący szyfonowy

kostium, ale zaraz, ciężko wzdychając, odwiesiła go z powrotem. - W takim towarzystwie nie możesz się pokazać w sztucznej biżuterii. Od razu zauważą różnicę. Właśnie dlatego musisz się ubrać w sposób trochę... zbzikowany.

- Ale ja wcale nie jestem zbzikowana! - Rose wiedziała jednak, że nie przekonana przyjaciółki.

- Z tego nic się nie nadaje... - Connie zrezygnowanym spojrzeniem obdarzyła garderobę na wieszakach. - Ale zaczekaj... Mam, już mam! - I z radosnym uśmiechem popędziła na schody prowadzące na strych.

- Connie! - zawołała za nią Rose. - Na górze są tylko kostiumy do przebrania się na Halloween!

- Wiem. - Głos Connie, choć lekko stłumiony, dźwięczał radością.

Rose nie miała czasu ani ochoty na żarty. Musiała zaraz zadzwonić do hotelu i sprawdzić, czy Duncan zostawił dla niej wiadomość. Ciekawe, czy go nie zdziwiło, że za każdym razem, gdy dzwoni, nie zastaje jej w pokoju...?

- Pan Burke prosił, by się pani z nim skontaktowała tak szybko, jak to możliwe - poinformowała recepcjonistka. - Zostawił telefon...

Rose zapisała numer. Nie był to numer prywatny ani służbowy... Zamiast od razu zadzwonić, wyjęła notatki sporządzone na podstawie terminarza.

Mechanik! To był numer telefonu do warsztatu samochodowego. Rose dzwoniła pełna złych przeczuć.

- W moim samochodzie wysiadł cały system elektryczny - powiedział Duncan przeproszającym tonem. - Będzie gotowy dopiero na wtorek. Czy możesz mi świadczyć przysługę...

Domyślała się, o co chodzi.

- Oczywiście - powiedziała bez zastanowienia.

- Czy mogłabyś dziś wieczór po mnie przyjechać?

Powiedz mu, że jesteś chora... Albo: „Och, co za zbieg okoliczności, mój samochód też jest w warsztacie!”. Zresztą powinien tam być. Powiedz mu, że spotka-

cie się kiedy indziej... Powiedz...

- W porządku, o której przyjechać? - spytała.

Duncan dokładnie wyjaśnił, jak trafić do jego domu w West University - modnej ostatnio dzielnicy, zamieszkaney przez młodych, zdolnych biznesmenów.

- O wpół do dziewiątej, zgoda? - zakończył. - Będę czekać.

Rose powoli odłożyła słuchawkę, i zaraz potem podniosła rękę do ust. To była katastrofa!

- Rose, tylko spójrz... Co ci się stało? - Connie wychyliła się przez barierkę. - Puścił cię kantem?

- Nie.... - Rose opuściła dłonie. - Ma kłopoty ze swoim samochodem, i chce, bym po niego przyjechała.

- I co w tym straszego?

- Co straszego? - Słyszała, jak jej głos podnosi się do histerycznego pisku. - Widziałaś mój samochód?! Nie mogę się w nim pokazać na ekskluzywnej imprezie dobroczynnej!

- Wynajmij sobie limuzynę - zażartowała Connie. - Będzie świetna zabawa. - I znów zniknęła w garderobie na piętrze.

Rose potraktowała podsunięty pomysł z całkowitą powagą. Wynając wóz... Jakież to proste! Natychmiast się uspokoiła. Duncan myślał, że ma szarego mercedesa...

A więc wynajmie szarego mercedesa!

- Cygarniczka byłaby idealnym rekwizytem - upierała się Connie po raz nie wiadomo który. - Dlaczego nie chcesz jej trzymać?

- Bo nie palę - wyjaśniła z uporem Rose.

Nie była pewna, czy potrafi swobodnie zachowywać się w stroju, w który ubrała ją Connie. Nie było jednak czasu na grymasy.

Całe popołudnie spędziła w wypożyczalniach samochodów, szukając szarego mercedesa. Ostatecznie musiała zdecydować się na kolor srebrny. Miała nadzieję,

że po ciemku Duncan nie zauważy różnicy.

- Zamknij oczy, kochanie. - Głos Marka dotarł do jej świadomości. - Polakieruję ci włosy.

Rose przymknęła mocno umalowane oczy.

- Nie bardzo podoba mi się mój wygląd - oświadczyła i natychmiast poczuła w ustach smak lakieru do włosów.

- Zaufaj mi. - Mark wetknął jej we włosy japońskie pałeczki. - Czy dałem ci już swoje wizytówki?

- Tak, ale przydałoby się więcej. - Co prawda zostawiła je w różnych miejscach w hotelu Post Oak, ale właściwie nikomu jeszcze nie wręczyła ich osobiście.

- Wiedziałem! - Mark rzucił tryumfalne spojrzenie Connie, ta zaś popatrzyła nań z podziwem. - Ludzie zaczynają zauważać! - Ostatnie słowo wymówił ze szczególnym naciskiem.

Rose nie pozostało nic innego, jak po prostu zapomnieć o swej wielce oryginalnej fryzurze i żywić nadzieję, że nie wzbudzi ona nadmiernej sensacji.

- Które kolczyki? - Connie zademonstrowała łożki z jadeitu oraz parę miniaturowych, papierowych lampionów.

- Wolę jadeitowe - rzekła stanowczo Rose.

- Och, ale lampiony są ogromnie śmieszne...

- Mam już kłopoty z tymi pałeczkami - odparła zniechęcona. - Wyglądam, jakbym wybierała się na bal maskowy.

Mark uczesał ją na gejszę. Twarz miała upudrowaną bardzo jasnym pudrem, usta jaskrawoczerwone, a oczy obwiedzione grubą, czarną kreską.

Mark i Connie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Możemy zetrzeć trochę pudru - powiedziała Connie, podając jej kolczyki. - Ale naprawdę wyglądasz świetnie. Po prostu nie jesteś przyzwyczajona do mocnego makijażu.

- Nie mam już czasu. - Rose wstała. - Nie mogę się spóźnić.
- Zaczekaj chwilę! - Mark położył dłoń na jej ramieniu.
- Przymknij na moment oczy. - Musnął twarz Rose miękkim pędzlem do pudru. - Jak teraz? - spytał.

Przez warstwę pudru przebijał naturalny kolor cery Rose; wyglądała trochę mniej teatralnie. Connie znalazła na strychu szerokie, jaskrawe kimono, które Rose włożyła na czarne spodnie i bluzkę, w pasie zaś przewiązała się tradycyjnym japońskim obi. Wyglądała naprawdę ekstrawagancko.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się do Marka, który na koniec wcisnął jej do ręki kilka swoich wizytówek.

Silnik mercedesa pracował jak marzenie. Rose bez problemu odnalazła dzielnicę, w której mieszkał Duncan. Gdy podjechała pod jego dom, czekał na nią na ganku. Zdążyła tylko zerknąć na sąsiednie podobne domki o nowoczesnej architekturze, z dobrze utrzymanymi trawnikami.

- Jesteś punktualna - powiedział, zapinając pas.

Ubrany był w ciemną marynarkę i koszulę bez kołnierzyka. Na jego twarzy igrał rozbrajający uśmiech.

- Lubię punktualne kobiety.

Rose patrzyła na niego jak urzeczona, wdychając delikatny, cytrusowy zapach wody toaletowej.

- Mam poprowadzić? - spytał, gdy nie ruszała z miejsca.

- A chciałbyś? - odparła zażenowana, ponieważ złapał ją na tym, że mu się przygląda.

- Chętnie wypróbuję ten model. - Gdy zamienili się miejscami, zauważył: - Dużo kilometrów nim zrobiłaś?

- Tak... - Popatrzyła nań zdesperowana.

- To dobrze o nim świadczy.

- Jak ci idzie nowa kampania reklamowa Bread Basket? - zmieniła szybko

temat. - Czy już ich przekonales, że muszą poprawić swój wizerunek?

- Nie zamierzam z nimi rozmawiać, dopóki wszystkiego razem nie ustalimy - powiedział i uśmiechnął się do niej ciepło, gdy zatrzymali się na światłach.

Rose promieniała radością. Cenił sobie jej opinię! Z ledwością mogła w to uwierzyć.

Przez dalszą drogę rozmawiali o Bread Basket, i Rose całkiem zapomniała, że wkrótce stanie oko w oko z przyjaciółmi Duncana.

Ale gdy podjechali pod rzęście oświetloną kamienicę, natychmiast powróciło podenerwowanie.

Wchodząc do galerii, Duncan pochylił ku niej głowę.

- Wyglądasz wspaniale, Rose - szepnął w momencie, gdy zaczynała tracić wiarę w siebie.

Odbywała podróż do całkiem nowego świata... i Duncan był jej paszportem. Był również jej przewodnikiem i tłumaczem.

- Duncan! - zawołała obsypana klejnotami starsza kobieta w długiej, czarnej sukni.

- Maud! - Nastąpiło czułe cmoknięcie. - Znasz Rose Franklin?

- Chyba nie... - Kobieta obrzuciła Rose badawczym, acz życzliwym spojrzeniem.

Rose odprężyła się nieco, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, otoczył ich tłum; na szczęście Maud skierowała swe zainteresowanie ku nowo przybyłym gościom.

- Duncan! - Następna kobieta, kolejna czarna suknia i jeszcze więcej biżuterii.

- Cece! - Znów pocałunek w powietrzu. - Nie sądziłem, że już wróciłaś z zagranicy. Znasz Rose?

- Rose Franklin - przedstawiła się Rose, unikając kolejnego zaprzeczenia.

Cece przyłożyła ozdobiony pierścionkami palec do ust.

- Czy jesteś nową synową Buzz Franklin? - spytała.

- Cece, cóż bym tu robił z zamezną kobietą? - roześmiał się Duncan, obejmując Rose w talii.

- Z Duncana to niezły szelma! - powiedziała Cece do Rose scenicznym szeptem. - Ale i tak bardzo go lubimy. - Posłała Duncanowi czarujący uśmiech i odeszła.

- Szelma...? - Rose zerknęła na Duncana i zauważyła lekki rumieniec na jego policzkach.

- Cece jak zwykle przesadza - powiedział wymijająco, po czym stanowczym gestem kładąc rękę na ramieniu Rose, skierował się do następnej grupy gości.

- Duncan! - Kobieta nie nosiła ani czarnej sukni, ani biżuterii.

W uszach miała klipsy w kształcie delfinów, a na sobie dżinsy i koszulkę z nadrukiem o zagrożeniu lasów tropikalnych.

- Miło cię znów widzieć, Ginger. - Tym razem nie było pocałunku w powietrzu. Duncan po prostu pocałował Ginger w policzek w taki sam sposób, jak całował Rose na powitanie.

Rose poczuła ukłucie w sercu.

- Witaj, Rose! - rozległ się obok niej męski głos.

- Robert! - Zadowolona, że wreszcie ktoś ją rozpoznał, Rose uśmiechnęła się szczerze do Roberta Bernarda i nadstawiła policzek.

Towarzyski pocałunek był w tym środowisku rytuałem. W przyszłości będzie musiała o tym pamiętać.

Rozglądając się wokół, stwierdziła, że Connie miała absolutną rację, ubierając ją awangardowo. Kobiety nosiły albo prawdziwą biżuterię, albo nic. Japońskie kimono Rose komponowało się ze strojami tych kobiet, które reklamowały rozmaite ruchy ekologiczne. Jedna z nich, na przykład, miała na głowie turban. Było też kilka modelek ubranych w obcisłe, krótkie sukienki, których żadna normalna kobieta nie mogłaby włożyć - tak więc Rose w ogóle nie brała ich pod uwagę.

Starła się zachowywać tak samo jak inni. Śmiała się, gdy wszyscy się śmiali

i przytakiwała, gdy czynili to inni. Ale choć wszystko wskazywało na to, że towarzystwo zaakceptowało ją jako przyjaciółkę Duncana i Bernarda, to jednak nie opuszczało ją przerażenie, że rychło zostanie zdemaskowana i potraktowana jak intruz.

W pewnej chwili poczuła, że Duncan mocniej ściska ją w talii.

- Chciałabyś poznać artystów? - spytał stłumionym głosem i poprowadził ją w kierunku długowłosego mężczyzny stojącego na tle trzech obrazów. Artysta ubrany był w szerokie, czarne spodnie, biały podkoszulek i zachlapanę farbą tenisówki.

- Czy to są obrazy? - spytała Rose, mając nadzieję, że nie.

- Tak sądzę. Pamiętam je z reklamówki, którą zrobiliśmy - wyjaśnił z pewnym rozbawieniem i zapytał: - Jak ci się podobają?

Rose rozpaczliwie szukała w myślach jakiegoś stosownego komentarza, żałując, że kurs, na który się zapisała, nie zaczynał się od sztuki współczesnej.

- Musiałabym lepiej im się przyjrzeć - powiedziała w końcu.

Trzy obrazy bardzo okazałych rozmiarów były wariacją na ten sam temat. Ja-skrawe kolory wirujące w morzu czerwieni wypełniały całe płótno oprócz białej przestrzeni na górze. Jeden z dolnych rogów był rozerwany i farba spływała na dół, tworząc barwną plamę na podłodze.

- Pomalował ścianę i podłogę! - wymamrotała Rose w osłupieniu, zastanawiając się, co o tym sądzi właściciel galerii.

Rose wołała, żeby Duncan nie usłyszał tej mimochodem wypowiedzianej kwestii. Chciała, żeby słyszał z jej ust wyłącznie błyskotliwe, ale mądre komentarze. Żałowała, że nie może rozszyfrować jego myśli. Wiedziała już, że lubi współczesną muzykę. Być może lubił również współczesną sztukę...

Ale czy to awangardowe dzieło sztuki naprawdę mu się podobało? Nie poruszając głową, zerknęła nań z ukosa. I nagle poczuła przyływ inspiracji.

- Jak rozumiesz wymowę tych obrazów? - spytała.

Duncan patrzył na obrazy i milczał.

- Autor czuje, że komercjalizm społeczeństwa wysysa z niego siły twórcze - rzekł po namyśle.

- Naprawdę? - Skąd, na Boga, wyciągnął taki wniosek?!

- Och, tak. I pogardza sobą z tego właśnie powodu. Trey - wskazał gestem młodego człowieka - wykonuje zlecenia na zamówienie agencji, gdy potrzebuje kupić jedzenie. Na szczęście dla nas jada dość regularnie.

- Ale dlaczego nie lubi dla was pracować?

- Jego zdaniem pławimy się w płytkim komercjalizmie.

Nareszcie Rose wszystko zrozumiała. Po chwili Duncan przedstawił ją Treyowi.

- No, no, Duncan! - Artysta biorąc Rose za rękę, popatrzył jej głęboko w oczy. - Urocza istota, ledwie ukształtowana... Róża o najpiękniejszych płatkach, choć jeszcze w pąku... - Pochylił się nad jej ręką i pocałował ją.

- Słucham? - Rose zażenowana wyrwała mu dłoń.

Spojrzenie, jakim obdarzył ją Trey, podkreślone było pogardliwym wygięciem brwi.

- Cytowałem Byrona - rzekł z nonszalanckim uśmiechem, widząc, że policzki Rose zaczynają płonąć.

Rose czuła, że stojący obok Duncan zastygł w napięciu. O Boże, obnażyła swą ignorancję! Ale może uda jej się to naprawić, wygłaszając jakiś mądry komentarz na temat obrazów.

- Przykro mi, że czuje się pan wyczerpany - wypaliła.

- Wyczerpany? - Trey popatrzył na nią zdziwiony.

- Pozbawiony weny twórczej - wyjaśniła uprzejmie, wskazując plamę na podłodze. - Mam nadzieję, że ją pan odzyska.

Trey nerwowo zamrugał oczyma.

- Myślę, że pójdziemy się czegoś napić, Rose - Duncan wziął ją pod ramię i z bezwzględną stanowczością poprowadził przez tłum. Gdy chwycił pospiesznie dwa

kieliszki szampana i poszedł dalej, zrozumiała, że znalazła się w opałach.

Do licha, dlaczego nie trzymała języka za zębami! W dodatku powiedziała coś całkiem niestosownego i Duncan musiał ją stąd zabrać, żeby nie wprawiła towarzystwa w jeszcze większe zakłopotanie.

Szła za nim pokornie do tylnej części galerii. Duncan podał jej kieliszek i otworzył drzwi do ogrodu.

- Tędy. - Poprowadził ją wyżwirowaną ścieżką do osłoniętej krzewami betonowej ławki. - Wspaniale, tutaj nikogo nie ma - powiedział, rozglądając się dokoła.

Rose usiadła i zwróciła ku niemu przygnębioną twarz.

- Duncan... - zaczęła przepraszająco.

- Szszsz - przerwał, kładąc palec na jej ustach. - Jesteś doprawdy niesamowita.

Ostatnie słowo wymówił ze szczerym podziwem. W sercu Rose zapalił się płomyk nadziei.

- Naprawdę? - spytała nieśmiało.

- Wyraz jego twarzy! - Duncan wybuchnął śmiechem. - Widziałaś twarz Treya, gdy mu powiedziałaś, że masz nadzieję, że wróci mu moc twórcza?

Próbowała tylko współczuć artyście, dać mu poznać, że rozumie jego pracę. Najwyraźniej jej słowa zostały inaczej zinterpretowane.

- Wsadziłaś mu szpilkę, ale to dobrze, ponieważ na nią zasłużył - ciągnął Duncan. - Miałem ochotę go udusić, gdy próbował ci udowodnić swoją wyższość. - Znów się roześmiał.

- Ale widzę, że sama potrafisz sobie poradzić.

- Nie zawsze - wyjąkała Rose, usiłując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

Wypiła łyk szampana; był ciepły, postawiła go więc na ławce.

- Nie lubię pretensjonalnych ludzi, a Trey właśnie do nich należy - powiedział Duncan, próbując szampana.

Skrzywił się i wyciągnął rękę po kieliszek Rose.

- Myślałam, że Trey dla was pracuje - wtrąciła, podając mu swój kieliszek.

- Owszem... - Bezceremonialnie podlał szampanem azalie.

- Widzisz, cenię jego pracę, ale nie lubię jego samego. Jest hipokrytą i uwielbia, jak wszyscy się przed nim płaszczą.

Rose odetchnęła z ulgą. Tak bardzo się bała, że Duncan będzie na nią zły. Stał się jednak cud i całkiem przypadkiem udało jej się powiedzieć coś odpowiedniego.

- Myślałam, że jesteś na mnie zły, ponieważ obraziłam jednego z twoich przyjaciół - powiedziała.

- Zły? - Popatrzył na nią z góry, a jego ciemnoniebieskie oczy na chwilę rozbliły. - Nie jestem zły... Właściwie ja... - Pochylił niżej głowę i urwał. - Myślę, że jesteś... niebywałą osobą. - Objął palcami jej szyję, a potem po prostu ją pocałował.

Pocałunek był stanowczy, choć w jakiś sposób powściągliwy; bardzo przyjemny i dający nadzieję na więcej w sprzyjających warunkach. Był to bardzo odpowiedni pocałunek na pierwszy raz - szczególnie, że oddali się pieszczocie w miejscu publicznym, w każdej chwili narażeni na wścibstwo jakiegoś intruza.

Ale Rose miała nadzieję na pocałunki przypominające wybuchy rac i rozbłyskujące gwiazdy. Była przygotowana na takie pocałunki. Pragnęła ich.

Duncan odchylił głowę, by znów na nią spojrzeć.

- Jesteś taka słodka - wyszeptał.

- Chciałabym być inna. - Położyła ręce na szerokich ramionach Duncana, rozchyliła wargi i przyciągnęła go do siebie.

Być może w jej zachowaniu brakowało finezji, ale Duncan zareagował natychmiast. Zacisnął wokół niej ramiona i pogłębił pocałunek. A później, przytrzymując jej głowę dłonią, przesuwiał ustami po jej wargach, szepcząc coś, czego już Rose nie słyszała oszołomiona hałasem strzelających rac.

A potem rozbłysło tysiące gwiazd i Rose chciała śmiać się z radości. Zamiast tego jednak wsunęła dłonie pod jego marynarkę i przytuliła się doń tak mocno, jak

mogła. Należała do niego. Czuła się w jego ramionach naturalnie i na miejscu.

- Rose! - Oddech jego stał się urywany. Całował teraz jej szyję, a potem znów usta gwałtownymi, zachłannymi pocałunkami. - Rose...

Nagle drzwi do galerii się otworzyły; gwar, śmiech, światło wtargnęły do intymnego świata, który sobie stworzyli.

Duncan chwycił głęboki oddech, otworzył oczy i przyglądał jej się oszołomiony - tak samo oszołomiony jak Rose, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

- Rose?

- Tak, Duncan...? - Ona to doskonale rozumiała. On dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co ona wiedziała od samego początku. Było to przeznaczenie zapisane w gwiazdach. Tak miało być. Od zawsze. Na zawsze.

Nadal obejmował ją ramionami; oparła policzek o jego klatkę piersiową i uśmiechnęła się, słysząc głucho dudnienie jego serca.

- Rose, najwyższy czas, żebyś poznała moich rodziców - powiedział poważnym tonem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy w następny czwartek Rose pojawiła się w hotelu Post Oak, żeby skorzystać z siłowni, czekał na nią list od matki Duncana.

Popędziła do swego pokoju, gdzie nerwowo rozdarła grubą kopertę z czerpanego papieru; z pietyzmem przesunęła placami po monogramie.

Gruby, kremowy papier oraz wypukły monogram nasuwały myśl o ślubie... Rose z westchnieniem otworzyła list. Matka Duncana zapraszała ją na weekend za dwa tygodnie i zapewniała, że niecierpliwie oczekuje tego spotkania. Podpisała się: Nadine Burke - wyraźnym, regularnym charakterem pisma.

Została zaproszona na cały weekend... Rose była szczerze zdumiona. W najlepszym razie oczekiwała zaproszenia na obiad, albo tylko na herbatę w jakieś niedzielne popołudnie. Cały weekend z Duncanem i jego rodzicami! To musiało zwiastować coś naprawdę poważnego...

Rose usiłowała przypomnieć sobie szczegóły wieczoru w galerii. Gdy goście wyszli do ogrodu, wróciła z Duncanem do środka. Przez cały czas nie odstępował jej ani na krok i władczo trzymał za rękę. Rose rozmawiała z ludźmi - tak musiało być - ale wkrótce straciła poczucie rzeczywistości. Gdy napotkała oczy Duncana, nie mogła już się od nich oderwać. Obydwoje poruszali się jak w transie; wykonując identyczne ruchy, postawili kieliszki na parapecie i wyszli z galerii.

W drodze do domu milczeli, a może rozmawiali przez cały czas...? Tego również nie pamiętała. Zapamiętała jedynie, że przed swoim domem znów wziął ją w ramiona, a potem, gdy nie chciała odjechać, delikatnie ją do tego namówił. Stał przy krawężniku i obserwował, aż zniknęła z pola widzenia.

Och, to był naprawdę romantyczny wieczór! Rose z głębokim westchnieniem opadła na łóżko, przyciskając mocno do piersi list od pani Burke. Gdy mężczyzna prosi kobietę, by poznała jego rodziców - z pewnością ma poważne zamiary. Tak, Duncan z właściwą mu stanowczością posuwał sprawy do przodu.

Rose zastanawiała się, dlaczego tak wiele czasu zajęło mu zrozumienie tego, co było przecież nieuchronne. Rose Burke... Brzmiało całkiem nieźle, ale trochę niemelodyjnie. Znacznie lepiej - pani Duncanowa Burke. Te słowa dźwięczały w uszach jak najpiękniejsza melodia.

Ciekawe, jakimi ludźmi byli jego rodzice? Czy po ojcu odziedziczył te niebywale niebieskie oczy i gęste, czarne brwi? A pewność siebie - czyżby tę cechę miał po matce? Wprost nie mogła się doczekać poznania ludzi, których miłość stworzyła Duncana. I z góry wiedziała, że ich również pokocha.

Na tę szczęśliwą scenę, która rozgrywała się przed oczyma Rose, padł jednak cień. Usiadła prosto na łóżku, ponieważ nagle serce jej ścięła lodowa powłoka. Duncan z pewnością pragnie, by rodzice ją zaakceptowali... Ale co będzie, jeśli nie od razu zrozumieją, że Duncan i Rose są dla siebie przeznaczeni?

Ostrożnie i powoli zaczną ją sprawdzać. Zechcą się upewnić, czy Rose jest warta ich syna. Duncan z pewnością kochał rodziców i liczył się z ich opinią. A Rose tak bardzo chciała, by wydali o niej pozytywną opinię!

Spotkanie z rodzicami Duncana będzie nie lada egzaminem. Powinna już dziś zacząć do niego przygotowania.

Duncan ucieszył się, że tak szybko dostała zaproszenie od jego rodziców.

- Mama niecierpliwi się już od pewnego czasu, ale to ja wołałem poczekać, aż skończymy z kampanią Bread Basket. Czy jesteś wolna w ten weekend? - Pochylił się do przodu, by sprawdzić kontrolkę na jej rowerze. - Zwiększymy opór. - Rose natychmiast odczuła różnicę. Tak samo jej nogi.

- Tak... jestem wolna. - Usiłowała nie dyszeć.

- Moi rodzice będą tobą zachwyceni - orzekł i gestem pełnym uwielbienia odsunął z jej twarzy zabłąkany kosmyk włosów.

Dotyk jego palców sprawił, że zadrżała.

- Czas na moją grę - rzekł Duncan, widząc swego partnera, wychodzącego z szatni. - Posłuchaj, Rose... - zawahał się lekko. - Nie poczuj się zaniedbywana, ale

przez najbliższe dni do ciebie nie zadzwonię. Pracuję jak szalony, by wszystko przygotować na koniec kampanii.

- Oczywiście, nie ma sprawy - powiedziała, choć serce zamarło jej z bólu. - Dla mnie to też gorący okres.

- Wiedziałem, że zrozumiesz. - Uśmiechnął się do niej przepraszająco i przelotnie pocałował ją w czoło. - Będę o tobie myśleć - rzucił na odchodnym.

- Ja też.... - Rose obserwowała go, aż zniknął za drzwiami.

Na chwilę przerwała pedałowanie.

Z początku była rozczarowana, że nie spotkają się przez kilka dni. Po krótkim namyśle doszła jednak do wniosku, że ma teraz okazję, by mu zademonstrować swą niezależność. Musi mu pokazać, że nie należy do tych wiecznie nadąsanych, zaborczych kobiet, które wymagają, aby cały czas się nimi zajmować!

Cały następny tydzień, gdy Duncan zmagał się z kampanią Bread Basket, Rose spędziła w bibliotece.

Przejrzała mnóstwo książek o etykietce towarzyskiej, Szekspirze i lordzie Byronie. Przeczytała stos gazet i kolorowych magazynów, by poznać bieżące wydarzenia z kraju i ze świata. Przestudiowała kroniki towarzyskie i wynotowała nazwiska ludzi, którzy pojawiali się tam regularnie.

Przerzuciła również magazyny mody. Musiała przecież skompletować garderobę odpowiednią na weekend u państwa Burke'ów. Już kilka razy przeglądała garderobę w „Zakątku Rose”, usiłując przewidzieć plany rodziców Duncana na ten weekend.

I nagle, w samym środku przygotowań, zdała sobie sprawę, że potrzebuje kompletu odpowiednich walizek. W dodatku nie mogły być nowe, ponieważ Duncan był przekonany, że wiele podróżowała...

Dreńczyła się właśnie myślą, co z tym fantem zrobić, gdy w sklepie pojawiła się Connie.

- Znam ten wyraz twarzy - powiedziała wesoło. - Czym się aktualnie zamar-

twiasz?

- Chodzi o walizki... - I Rose opowiedziała jej o zaproszeniu.

- Nie martw się. - Connie rzuciła na ladę stos książek. - Są poważniejsze sprawy. Zbliżają się końcowe egzaminy i muszę się uczyć. Nie zrozum mnie źle - Connie usiłowała się tłumaczyć - naprawdę cenię sobie nadgodziny w sklepie, ale teraz nauka musi być na pierwszym miejscu.

- Oczywiście, oczywiście... - Rose wpatrywała się w książki, wiedząc, co to oznacza.

Connie spędzała w sklepie cały czas, gdy nie była na zajęciach. Rose natomiast ostatnio bywała tutaj rzadko; nawet nie wiedziała, kto wypożyczył suknie na bale maturalne... Jeśli Connie nie było pod ręką, a Rose musiała wyjść, po prostu zamykała sklep, wywiesiwszy na drzwiach stosowną tabliczkę.

Oczywiście, to nie był dobry sposób na prowadzenie interesu. Zdawała sobie z tego sprawę. A wobec zwiększonych wydatków zaniedbywanie „Zakątka Rose” - jedyne źródła dochodu - było polityką samobójczą.

Cóż, „Zakątek Rose” należał już do przeszłości, pocieszała się w duchu. Teraz Duncan był jej przyszłością. Postawiła wszystko na jedną kartę. Nie mogła z równą uwagą pilnować obu spraw jednocześnie.

- Gdy będziesz musiała gdzieś wyjść, po prostu zamknij sklep - poinformowała Connie.

- Jesteś tego pewna, Rose? - Connie spojrzała na szefową ze zdziwieniem. - Wiesz, że nie ze wszystkim sobie radzę...

- Idzie ci doskonale! - Chyba Connie nie zamierzała odejść?!

- Och, to nieprawda... W czwartek, nim wyszłaś do hotelu, zgodziłaś się, że bym kupiła nowe rzeczy... - Connie wyciągnęła z pudła stojącego przy ladzie zwój różnokolorowego jedwabiu. - Przykro mi, ale nie zauważyłam, że tu brakuje jednego guzika... Może... może mogłybyśmy przypiąć broszkę...?

Rose powstrzymała się od komentarza. To była wyłącznie jej wina. Ciągle zo-

stawiała Connie samą, nie powinna więc mieć pretensji.

- To piękny jedwab - powiedziała. - Nie wiem, czy sama zauważyłabym brak guzika... - Z radością odnotowała wyraz ulgi na twarzy Connie. - A poza tym, jeśli wepniemy w to miejsce jakąś ozdobną broszkę, żakiet na tym zyska... - Może nawet będzie odpowiedni do zabrania na weekend do państwa Burke'ów? - Wiesz, poszukaj do niego odpowiedniej ozdoby - poprosiła.

- Dobrze, ale... - Connie zaczęła przerzucać swoje notatki. - Na osiemnastego przypada szczyt balów maturalnych. Wtedy już będę po egzaminach, ale przyszły tydzień mam bardzo zajęty. Właściwie prawie wcale nie mogę siedzieć w sklepie. Ale jeśli zamkniemy sklep, nikt nie kupi ani nie wypożyczy sukienki...

Jakże to miło z jej strony, że niepokoi się takimi drobiazgami jak bale maturalne, pomyślała z uśmiechem Rose. Connie nie rozumiała, że było tyle ważniejszych spraw...

- Chyba nie mamy kompletu walizek do wypożyczenia, prawda? - powróciła do poważniejszego tematu.

- Denerwujesz się? - Duncan zaparkował samochód przed szarym budynkiem głównego biura Bread Basket Foods w przemysłowej części miasta, niedaleko lotniska Hobby.

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci towarzyszyć - przyznała Rose. - Nie mam pojęcia o reklamie...

- Chcę, żebyś poszła ze mną - odparł Duncan. - A o reklamie więcej wiesz, niż ci się wydaje. Jesteś naszym konsultantem w tym przedsięwzięciu. - Ścisnął jej dłoń. - Poza tym tęskniłem za tobą, Rose

- Ja też. - Rose zalotnie przechyliła ku niemu głowę.

Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc.

- Później - wyszeptał. - Obiecuję.

Rose kątem oka zauważyła kobietę zbliżającą się do samochodu Duncana.

- Pan Warren oczekuje państwa w budynku numer trzy - poinformowała, wskazując następny, niski budynek.

Duncan podziękował i uruchomił silnik.

Rose zauważyła, że jest zbyt elegancko ubrana. Miała na sobie firmowy kostium, co prawda nie tak drogi jak Chanel, ale za to w ognistym, czerwonym kolorze oraz pantofle na bardzo wysokich obcasach. Mark zaś uczesał jej włosy w - jak to nazwał - „urzędowy węzeł”.

Kobieta, która wyszła ich poinformować ubrana była w obcisłe spodnie w paski i elastyczną bluzkę w kwiatki.

- Duncan, może lepiej, żebym poczekała w samochodzie? - spytała ponownie.

- Naprawdę, nie denerwuj się, Rose! - Wybuchnął szczerym śmiechem.

Twarz jego wyrażała rozbawienie i czułość zarazem.

- Wiem, że to istotna sprawa dla mojej i twojej przyszłości. - Splótł palce wokół jej dłoni. - Chcę więc, byśmy poszli tam razem i razem walczyli.

Przyszłość. Razem. Rose uczepiła się tych słów, gdy Duncan przedstawiał jej pana Warrena.

Pokój, do którego zostali zaproszeni, cały tonął w szarościach i bielach. Rose na tym tle wyglądała jak gigantyczny pomidor. Trzej mężczyźni, w tym także pan Warren, również patrzyli na nią jak na wielkiego pomidora. Zerknęła na Duncana zawieszającego na ścianie tablice z wykresami i tabelami. Zauważyła, że z wściekłością spogląda na jednego z mężczyzn.

Czyżby... czy to możliwe, że był zazdrosny?

Gdy udzielała zdawkowych odpowiedzi, skromnie spuszczać oczy, poczuła znajomy dreszcz podniecenia. Wiedziała, że spodobała się tym mężczyznom.

Kilka chwil później Duncan zaprezentował swą magiczną siłę. Rose po prostu wpadła w trans, całkiem porwana wizją olśniewającego rozwoju sieci Bread Basket, którą przedstawiał. Z mistrzostwem prawił o zmianie kierunku rozwoju i wizerunku firmy, nie obrażając przy tym mężczyzn odpowiedzialnych za politykę

przedsiębiorstwa.

Gdy przeszedł do kwestii wyodrębnienia działu z podstawowymi artykułami, poprosił Rose, by zabrała głos w imieniu społeczności Village.

Rose była kompletnie zaskoczona, ale odważnie wstała i wystąpiła na środek, uśmiechając się do czterech mężczyzn.

- Mieszkańcy Village pragną dobrosąsiedzkich stosunków - powiedziała z naturalną swobodą. - Nasi kupcy unikają nadmiernej konkurencji. Przeciwnie, wspieramy się nawzajem, zamiast kopać pod sobą dołki. Odnoszę wrażenie, że właśnie tego nie może zrozumieć kierownictwo Bread Basket.

Zerknęła na Duncana, żeby sprawdzić jego reakcję. Skinął aprobująco głową i przysiadł na brzegu stołu. Podniesiona na duchu ciągnęła swój przekonujący wywód. Wspomniała, że lokalna społeczność potrzebuje miejsca do stałych spotkań, podkreślając przy tym, że Bread Basket wiele zyska, ofiarowując takie pomieszczenie.

- Jak widać, panowie - zakończył Duncan - mieszkańcy Village pragną z wami współpracować. Rodzi się zatem pytanie, czy również wy tego chcecie? - Gdy zapadła cisza, rozejrzał się po pokoju, po czym zwrócił do Rose: - Wyjdźmy na chwilę, żeby panowie mogli przedyskutować tę sprawę. - Minę miał tak obojętną, że Rose nie mogła odgadnąć, jak ocenił jej wystąpienie.

Dopiero gdy znaleźli się w małym barku samoobsługowym, zmienił się nie do poznania.

- Byłaś cudowna! - wybuchnął i pocałował ją głośno w usta. - Wiedziałem, że wypadniesz naturalnie. Zobacysz, będą jeść ci z ręki! - entuzjasmował się. - Idę o zakład, że zechcą płacić stowarzyszeniu miejscowych kupców, by odbywali zebrania w ich sklepie!

- Naprawdę tak myślisz? - Rose pęczniała z dumy pod wpływem tych pochwał.

- Jestem o tym przekonany! - Chwycił ją w ramiona. - Tworzymy wspaniały

tandem i myślę... - Urwał i uśmiechnął się nieznacznie kącikami ust.

- O czym myślisz? - indagowała. Może o tym, że również w życiu osobistym stworzymy wspólnie tandem, pomyślała w duchu.

- Myślę... że napiłbym się czegoś zimnego. - Sięgnął do kieszeni po monety. - Masz na coś ochotę?

Och, pragnęła, by powiedział to, co naprawdę zamierzał powiedzieć... Ale trudno. Cierpliwości, Rose! Jeszcze nie nadszedł właściwy moment.

- Wiem, ile dla ciebie znaczy sukces tej kampanii reklamowej i domyślałam się, ile pracy kosztowały przygotowania - powiedziała tonem lekkiej pretensji. - Dlaczego więc mnie nie uprzedziłeś, że będę przemawiać?

Duncan wrzucił kilka monet i puszka soku winogronowego ze stukotem wypadła z maszyny.

- Tamtego dnia w klubowym barze improwizowałam i byłam niezwykle przekonująca - odparł. - Nie chciałem, byś zatraciła tę twoją cudowną świeżość.

- Ale to było ryzyko! - upierała się. - Mogłam powiedzieć coś niewłaściwego... albo mogłam nie wydusić z siebie ani jednego słowa...

- Potrafię dobrze oceniać ludzi. - Duncan upił łyk soku. - Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

Rose przysięgła sobie w duchu, że nigdy tego nie uczyni. Kwadrans później menedżerowie Bread Basket zaakceptowali plan kampanii reklamowej Duncana.

Rose pędziła do samochodu jak na skrzydłach.

- Wiele ci zawdzięczam, Rose - powiedział podniecony Duncan. - Byłaś niezwykle przekonująca. - Otwierając drzwi samochodu, puścił do niej oko. - A ta minispódniczka też nie zaszkodziła.

Gdy wsiadając do samochodu, obciągnęła spódnicę, Duncan wybuchnął śmiechem.

- Co za udany początek weekendu! - Ściągając krawat, przeszedł wokół samochodu. - Moi rodzice czekają na nas z obiadem. Dam ci czas do wpół do piątej.

Mam nadzieję, że wystarczy, byś się spakowała?

Rose, która spakowała się już wcześniej, skinęła głową. Duncan przed wejściem do samochodu zdjął marynarkę.

- To świetnie. - Wiedziony impulsem przechylił się przez siedzenie i szybko ją pocałował.

Rose przyznała mu w duchu rację. Początek był niezwykle udany.

Oprócz tego, że samochód Duncana nie chciał zapalić.

Po piętnastu minutach bezskutecznych wysiłków, Duncan zatrzasnął klapę silnika.

- Nie do wiary! - powiedział zirytowany. W powietrzu unosił się charakterystyczny swąd spalonej gumy. - Powinni to naprawić! Słono im zapłaciłem. - Z rękami opartymi na biodrach i ściągniętą twarzą Duncan patrzył w przestrzeń.

Rose nadarzała się doskonała okazja, by obserwować go, gdy był zły. Należał, jak widać, do tych ludzi, którzy zamiast wrzeszczeć, miotają wściekłe spojrzenia. Miała nadzieję, że nigdy nie stanie się ich obiektem.

- Zadzwońię po Roberta, żeby po ciebie przyjechał - powiedział w końcu, otwierając drzwi samochodu. - Wygląda na to, że znów będziemy musieli skorzystać z twojego wozu. - Twarz mu już złagodniała. - Przykro mi. Ale obiecuję, że następnym razem będę miał nowy wóz.

Ja też, pomyślała Rose.

- Proszę mnie zrozumieć, muszę mieć tego szarego mercedesa! - Oddychaj głęboko, powtarzała sobie Rose. Żadnych płytkich oddechów.

- Przykro mi, proszę pani. Ten samochód został zarezerwowany na weekend. - Kobieta z wypożyczalni samochodów uniosła wzrok znad komputera.

- Proszę dać temu klientowi mercedesa w innym kolorze - zasugerowała Rose.

- Nie posiadamy tego modelu w innym kolorze.

- W takim razie dajcie mu lepszy model. Zapłacę różnicę. - Rose wyciągnęła

swą mocno sfatygowana kartę kredytową. Gdy kobieta zaczęła coś stukać na klawiaturze, dodała: - Proszę powiedzieć, że mogą mieć każdy inny samochód...

Kobieta popatrzyła na nią dziwnym wzrokiem. Skądinąd jej zdumienie było zrozumiałe. Rose zachowywała się jak desperatka.

- Proszę pani... - Rose usiłowała się wytłumaczyć. - Chodzi o to, że... że mam poznać rodziców mojego chłopaka... A z tym wozem łączą się dla mnie szczególne wspomnienia...

- Aha. - Kobieta spojrzała na nią wymownie.

Rose od razu pojęła, co sobie pomyślała o wspomnieniach związanych z samochodem.

- Ale, proszę pani... - Twarz Rose płonęła.

- Proszę już nic nie mówić, rozumiem. - Z uśmiechem, który przyprawił Rose o jeszcze mocniejszy rumieniec, kobieta zaczęła znów stukać w klawiaturę i studiować ekran. - Dam pani ten samochód... - powiedziała wreszcie.

- Och, wielkie dzięki!

- Ale to będzie sporo kosztować.

- Nie ma sprawy.

Kobieta ironicznie uniosła brwi.

- Ależ to muszą być wspomnienia - zadrwiła.

Rose wróciła myślami do owego wieczoru, gdy Duncan pocałował ją po raz pierwszy, i twarz jej rozjaśnił uśmiech.

- To prawda - powiedziała sama do siebie.

- Być może zmieni pani zdanie, gdy zobaczy ostateczną cenę - skomentowała kobieta, kiwając głową z politowaniem.

Po tym doświadczeniu Rose podjęła kilka decyzji. Po pierwsze, postanowiła kupić sobie nowy samochód, ale w przystępnej cenie. Po drugie, skończyć z kosztownym wynajmem pokoju w Post Oak. Zamierzała kontynuować jedynie kursy wiedzy o sztuce na Uniwersytecie Rice. Były naprawdę interesujące. Nie widziała

również powodu, by od czasu do czasu nie pójść do filharmonii, mimo że nie lubiła tej samej muzyki co Duncan. Ostatecznie, nie musieli zgadzać się we wszystkim.

Nabrawszy pewności siebie, Rose umieściła w bagażniku walizkę, którą pożyczyla od Connie, i pojechała po Duncana.

Podróż do Woodlands, krainy sosnowych lasów, położonej o dwie godziny drogi od Houston, była po prostu bajeczna. Mimo że w piątkowe popołudnie na drogach wylotowych z miasta panował tłok, Duncan był w znakomitym nastroju. Relacjonował Rose reakcję Roberta na nieoczekiwane zwycięstwo z Bread Basket.

- Robert jest gotów cię zatrudnić - dokończył z uśmiechem na ustach. - Oczywiście, powiedziałem mu, że prowadzisz własny interes.

Ostatnio trochę podupadły, pomyślała ze smutkiem. Zyski z sezonu balów maturalnych w istocie były nieporównanie niższe niż w roku ubiegłym. Rose nie miała czasu zamieścić nawet standardowego ogłoszenia w lokalnej prasie, mimo że ta niewielka reklama w poprzednich latach okazała się skuteczna.

Teraz zbliżał się sezon ślubów i powinna wreszcie zająć się reklamą... Och, odsunęła od siebie przykre myśli. Przed nią niezwykle ważny weekend. Potem będzie jeszcze dość czasu na reklamę „Zakątka Rose”.

- Wiesz, co mnie najbardziej cieszy w utrzymaniu kontraktu z Bread Basket? - dopytywał się uradowany Duncan. - Reakcja tych wszystkich zazdrośników, którzy mieli nadzieję, że wreszcie Bernard i Burke położą kampanię! - Surowy uśmiech wykrzywił mu usta. - To będzie dla nich nauczka!

Utrzymanie zlecenia od firmy Bread Basket najwyraźniej dostarczyło Duncanowi głębokiego uczucia satysfakcji i zwycięstwa, którym teraz się delectował. Z lubością rozprawiał o planach na przyszłość, o innych trudnych kampaniach reklamowych. Rose słuchała z zadowoleniem. Opowieści Duncana mogłaby słuchać cały dzień.

Podczas drogi poznała mnóstwo tajników reklamowego biznesu, ale gdy zjeżdżali z autostrady w kierunku Woodlands, myśli jej skierowały się znów ku rodzi-

nie Duncana.

- Opowiedz mi trochę o swoich rodzicach - poprosiła.

- Masz tremę? - Duncan przystanął na skrzyżowaniu i obrzucił ją pełnym czułości spojrzeniem.

- Trochę. - Och, miała wielką tremę!

- Daj spokój. To mili ludzie. Mój ojciec, podobnie jak wielu mieszkańców tego regionu, jest emerytowanym dyrektorem przedsiębiorstwa przemysłu naftowego. Kocha grę w golfa i kilka lat temu przeprowadził się na prowincję, by uciec od wielkiego miasta.

- Mimo wszystko to niezbyt daleko - zauważyła.

- Moja siostra z rodziną mieszka w Houston, a rodzice chcieli być blisko wnuków. - Zerknął na nią przelotnie. - Obecnych i przyszłych - dodał.

Przyszłych... Rose z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę. - Inicjały musiały znajdować się w terminarzu, ale Rose nie знаła przecież nazwiska jej męża.

- Pamiętasz spotkanie z Jeanette w filharmonii? - spytał znienacka.

- To była twoja siostra? - Jak mogła tego nie zauważyć!

- Ależ nie! - Duncan roześmiał się. - Ale moja siostra też jest lekarzem. Studiowały z Jeanette na tej samej uczelni i pracują w tym samym szpitalu. Znam Jeanette od wielu lat...

- Och!

- Rose... - Duncan w zamyśleniu patrzył przed siebie. - Widzisz, spotykałem się z Jeanette, ale od pewnego czasu jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ona żyje swoją pracą... Oczywiście, nie winię jej za to. - Uśmiechnął się lekko. - Ale podoba mi się, że jesteś trochę zazdrosna.

- Wcale nie jestem zazdrosna. - Oczywiście, że była.

Uśmiechnął się szerzej.

- Czym zajmuje się twoja matka? - wolała zmienić temat.

- Można śmiało powiedzieć, że zajmuje się wszystkim. I golfem, i dobroczynnością; jest członkiem tysiąca organizacji.

Te informacje przygnębiły Rose. Duncan pochodził z rodziny, której wszyscy członkowie odnosili sukcesy. Z pewnością będzie chciał ją z nimi porównać... Ale jeśli to porównanie miało wypaść dla niej korzystnie, będzie musiała uważać na każde swoje słowo...

Potrafi to zrobić. Oczywiście, że potrafi! Przecież przygotowywała się na to spotkanie od wielu dni.

- To tutaj - zakomunikował Duncan, skręcając z dwupasmowej drogi w otwartą bramę.

Chwilę później Rose ujrzała dom.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Otoczony wysokimi sosnami, piętrowy dom Burke'ów stał nad brzegiem jeziora. Gęsty, zielony trawnik opadał łagodnie ku przystani z drewnianym mołem.

Gdy jechali w stronę garażu, Rose zauważyła basen i drugie skrzydło ogromnego domu.

Powinna coś powiedzieć. Czuła, że Duncan oczekiwał z jej strony komentarza. Ale ona myślała wyłącznie o tym, że nie pasuje do tego miejsca... Duncan był przyzwyczajony do takiego stylu życia i zapewne z góry założył, że ona również. Wiedziała, że pochodzą z różnych sfer, ale starała się o tym nie myśleć. Aż do dzisiaj.

- To wspaniały dom - powiedziała wreszcie. Ale to nie wystarczyło, dodała więc: - Na przystani widzę krzesła... Czy twoi rodzice lubią przesiadywać tam wieczorami?

- I rankami. - Zaparkował samochód i wyłączył silnik. - To cichy i spokojny zakątek. Mama przyzwyczała się, że wpadam tu od czasu do czasu o różnych porach, żeby posłuchać plusku fal. Godzina takiej muzyki przywraca mi jasność umysłu.

Rose przez szybę samochodu patrzyła na przystań, zastanawiając się, czy jej również godzina słuchania szumu fal przywróciłaby jasność rozumowania.

Duncan dotknął jej ręki; odwróciła się zakłopotana.

- Gotowa do wyjścia?

- Gotowa. - Wciągnęła głęboko powietrze.

Ledwie zdążył otworzyć bagażnik i wyjąć walizki, gdy zza węgła domu wyłoniła się para starszych ludzi.

Ojciec Duncana miał gęstą siwą czuprynę, matka zaś gładko zaczesane, ciemnobrązowe włosy. Obydwoje mieli niebieskie oczy, ale to po ojcu Duncan odziedziczył ich głęboki odcień.

- Duncan! - Nadine Burke nadstawiła policzek. - A ty jesteś Rose, prawda? - Ujęła obie dłonie Rose i przyglądała jej się badawczo.

Rose nie wiedziała, co zrobić ani co powiedzieć. Proszę, polubcie mnie! Jestem zakochana w waszym synu...

Cokolwiek matka Duncana ujrzała w oczach Rose, musiało ją to ucieszyć, ponieważ mocniej ścisnęła dłonie dziewczyny.

- Tak się cieszę, że wreszcie cię poznałam - szepnęła.

A więc zrozumiała! Ona zrozumiała... Rose czuła, jak uginają się pod nią kolana.

- Farrell - pani Burke zwróciła się do męża - to jest Rose. - Po czym, jak kruchy, bezcenny przedmiot, podała dłonie Rose wysokiemu mężczyźnie stojącemu obok Duncana.

- Co za urocze imię, Rose! - Farrell Duncan uwięził jej dłonie w serdecznym uścisku. - Czy nie jest to przypadkiem zdrobnienie od Rosemary? Tak nazywała się moja babka.

Z całego serca żałowała, że nie nazywa się Rosemary.

- Nie, po prostu Rose - odrzekła.

- Rose! - powtórzył z entuzjazmem Farrell Burke i popatrzył na Duncana, który stał z tyłu, oparty o samochód.

Rose, podążając za wzrokiem starszego mężczyzny, zauważyła na twarzy Duncana czuły wyraz, którego nie próbował ukryć. Serce zabiło jej mocniej. Kochał ją! I dawał jej to do zrozumienia w obecności rodziców. Posłała mu spojrzenie równie czułe i pełne miłości.

Pan Burke chrząknął znacząco i puścił dłonie Rose. W tym momencie Duncan postąpił do przodu i objął ją w pasie, ostatecznie ustalając tym gestem pozycję Rose w swoim życiu.

Zbierało jej się na płacz i podejrzewała, że nie tylko jej. Oczy Nadine lśniły od łez, gdy mówiła synowi, by zaprowadził Rose do gościnnego pokoju.

Pierwsze lody zostały przełamane. Niepotrzebnie Rose obawiała się trudności. Czyżby zapomniała, że przeznaczenie stało po jej stronie?

Jednak fatum najwyraźniej uznało, że już zrobiło swoje i wzięło wolne na wieczór.

Przy obiedzie czyhały na Rose nieoczekiwane pułapki. Gdy pani Burke opiekała na rożnie steki, a rodzina gawędziła o błahych sprawach, Rose odprężyla się nieco. Trudne tematy pojawiły się, gdy usiedli do stołu.

- Opowiedz nam trochę o swojej rodzinie, Rose. - Pani Burke rozpoczęła śledztwo, ledwie rozłożyli serwetki na kolanach.

Prawdę mówiąc, „śledztwo” było słowem zbyt mocnym. Prośba brzmiała całkiem naturalnie.

- Mieszkają na małej farmie we wschodnim Teksasie. - To była szczerza prawda. W Teksasie każdy określał swoją farmę lub ranczo jako małe, nawet jeśli obejmowało tysiące hektarów.

- Och tak. - Pani Burke położyła ogromny stek na talerzu Rose. - A gdzie?

Rozmowa toczyła się nadal; rodziny Burke'ów i Franklinów nie miały wspólnych znajomych, o czym Rose doskonale wiedziała, ale pani Burke, o dziwo, nie wyglądała na zaniepokojoną.

Jakkolwiek Rose nie wstydziła się swego środowiska, instynktownie przybrała obronną pozycję. Jakaż była jej ulga, gdy okazało się, że rodzice Duncana wcale nie byli snobami!

- Opowiedz nam, jak się poznaliście - poprosiła pani Burke.

Tym razem Duncan zabrał głos.

- Zgubiłem terminarz na weselu u państwa Donahue. Rose mi go zwróciła, zjedliśmy razem lunch, a potem jakoś stale wpadaliśmy na siebie...

Rose poczuła się zażenowana. Całe szczęście, że nie wiedział, ile zabiegów kosztowały ją te przypadkowe spotkania!

- Byłaś na weselu Stephanie? - spytała życzliwie pani Burke i nie czekając na

potwierdzenie, ciągnęła: - Oczywiście zauważyłaś suknię panny młodej? Była cudowna...

Natychmiast polubiła panią Burke. I to bardzo. Pani Burke poznała się na sukni.

- Znam tę suknię... - powiedziała wolno Rose. - Pochodziła z mojego sklepu,

- Rose prowadzi butik w Rice Village - wtrącił Duncan z dumą w głosie.

Na pani Burke ta informacja zrobiła odpowiednie wrażenie.

- Same perełki w tej sukni musiały być niezwykle kosztowne! - zauważyła, a gdy Rose już otwierała usta, by jej wyjawic cenę, zawołała: - Nie, proszę, nie mów! To przecież nie moja sprawa.

- Nigdy przedtem nie byłaś tak dyskretna, kochanie - wtrącił ironicznie pan Burke.

- Ależ, Farrell! - zbeształa go żona.

Pan Burke posłał jej czułe spojrzenie i szybko zmienił temat:

- Grasz w golfa, Rose?

- Nie, ale chciałabym kiedyś spróbować.

- Rose świetnie gra w tenisa - oświadczył Duncan ku jej ogromnemu przerażeniu.

- Naprawdę? - Ojciec Duncana popatrzył na nią z podziwem. - Przywiozłaś raketę?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

Wielki Boże, oby znów nie musiała kompromitować się na korcie!

- W takim razie poprosimy Nadine, żeby pożyczyła ci swoje kije i jutro rano możecie zagrać z Duncanem w golfa - oświadczył Farrell Burke.

- Jutro rano mam coś do załatwienia w mieście - powiedział Duncan. - Chyba zauważyliście, że przyjechaliśmy samochodem Rose. Mój jest w warsztacie.

- W takim razie jedź, a ja zagram w golfa z Rose - oznajmił Farrell Duncan.

Czyżby Duncan chciał ją zostawić, żeby sprawdzić, co się dzieje z samocho-

dem? Rose nie mogła w to uwierzyć. I wcale nie była pewna, czy naprawdę chce grać w golfa z jego ojcem.

Gdy kolacja dobiegła końca, Rose podniosła się, by pomóc pani Burke sprzątnąć ze stołu. Ze stosem talerzy weszła za panią domu do przestronnej kuchni, z której wychodziło się na werandę. Miedziane garnki zwisały z sufitu, w powietrzu unosił się aromatyczny zapach czekolady.

Nadine Burke podała Rose tacę pełną czekoladowych ciastek.

- To ulubione ciasteczka Duncana. - Poklepała Rose po ramieniu. - Dam ci przepis.

Rodzice Duncana byli tak mili dla niej, jakby od razu zrozumieli, że młodzi są sobie przeznaczeni. Oczywiście, że tak było. I Rose nie powinna się niczym przejmować.

Po deserze Duncan zaprowadził Rose na przystań; usiedli na krzeselkach, które zauważyła w chwili przyjazdu. Wsłuchiwała się w łagodne uderzenia fal o brzeg i próbowała się dopasować do nastroju Duncana.

- Spójrz na gwiazdy - powiedziała cichym, pełnym zachwytu głosem. - Już zdążyłam zapomnieć, ile ich jest... - Ach, prawda, przecież wychowałam się na wsi.

- Tak. - I przyjechała do miasta, żeby uciec od nieznośnej ciszy i spokoju, których, jak się okazywało, poszukiwał Duncan.

- Twoi rodzice są wspaniali - powiedziała, by odsunąć temat swego dzieciństwa.

- Zrobiłaś na nich dobre wrażenie. - Duncan poruszył się na krześle, a Rose znów poczuła zapach czekoladowych ciasteczek, które jadł po obiedzie. - Może wkrótce będę miał okazję poznać twoich rodziców?

- Być może - odparła wymijająco.

Próbowała sobie wyobrazić Duncana na swej rodzinnej farmie... i nie potrafiła. Nie mogła wyobrazić sobie Duncana siedzącego w kuchni przy zniszczonym śniadaniowym stole; nie mogła go sobie wyobrazić dojącego krowę ani jeżdżącego

na koniu... Wątpliwe, by znalazł coś interesującego na zapadłej teksaskiej wsi. Tam, gdzie ona niczego nie znalazła.

- Co ci jest? - Zauważył dziwny wyraz jej twarzy. - Uważasz, że chłopak z miasta nie poradzi sobie na farmie?

Rose przypomniała sobie jego silnie rozwinięte mięśnie i westchnęła.

- Och, Duncan, poradzisz sobie wszędzie - odparła.

- Miło mi to słyszeć. - Roześmiał się i wyciągnął rękę na oparciu krzesła.

Zamiast odchylić głowę do tyłu, spojrzała uważnie na profil Duncana. Jej ukochany, jedyny mężczyzna. Towarzysz jej życia... Zadrżała.

To drżenie przyciągnęło uwagę Duncana. Odwrócił ku niej twarz, a dłonią musnął jej ramię.

- Widzę światło gwiazd w twoich oczach - szepnął.

To blask miłości, pomyślała.

Nagle pochylił ku niej głowę i dotknął ustami jej warg.

- Mam wrażenie, że znam cię od zawsze... - Całował teraz jej szyję, palcami przesuwał po włosach.

- Może to prawda - wyszeptała wzruszona.

Odsunął się trochę, by na nią spojrzeć.

- Czujesz to samo?

- Oczywiście. - Błądziła palcem po jego policzku. - Od samego początku.

- W jaki sposób się odnaleźliśmy?

- To przeznaczenie - zapewniła... i znów go pocałowała.

- No cóż, Rose... - powiedział pan Burke po powrocie do domu z pola golfowego. - Śmiało można stwierdzić, że golf to nie jest twoja ulubiona gra.

- Przynajmniej sama się o tym przekonałam. - Rose starała się zachować dobry humor, choć nie mogła zapomnieć o tych wszystkich piłkach z monogramem Farrella Burke'a, które zgubiła.

Niczego nie potrafiła zrozumieć z zawiłych pułapek, nierówności terenu i

wybojów. Samo trafienie maleńką piłeczką do równie małego dołka przerastało jej możliwości.

- Walczyłaś dzielnie, a to najważniejsze. - Pan Burke poklepał ją pocieszająco po plecach. - A teraz chodźmy sprawdzić, co Nadine przygotowała na lunch.

Odnaleźli panią Burke w kuchni; był tam również Duncan, który już wrócił z miasta. Rose zorientowała się po ich minach, że właśnie o niej rozmawiali. Ciekawe, co mówili?

- Jak tam golf? - Duncan pocałował ją w policzek.

- Chyba nie mam talentu - odparła, trochę zażenowana, że pocałował ją w obecności rodziców.

- Masz za to wiele innych zdolności - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Rose opowiedziała mi o kampanii reklamowej Bread Basket - wtrącił pan Burke, opierając torbę z kijami do golfa o ścianę. - Moje gratulacje, Duncan!

- Dziękuję. - Duncan uklonił się Rose. - Ale to właśnie Rose zawdzięczam ten pomysł.

- Widzisz, jak wiele można osiągnąć z właściwą kobietą u boku? - Farrell Burke pochylił się nad żoną i głośno pocałował ją w policzek.

Wymowa tych słów była jasna. Całkowicie jasna!

- Rose, zaprosiłam na dzisiejszy wieczór kilku przyjaciół, by cię poznali - oznajmiła zniecierpliwiona pani Burke.

- Mamo! - wyrwało się z piersi Duncana.

- Wy, młodzi, jesteście teraz tak zajęci, że nie wiadomo, kiedy znów przyjdziecie na weekend - wyjaśniła Nadine Burke.

- Będę w gabinecie - oznajmił pan Burke i przeczuwając najgorsze, czym prędzej się ewakuował.

- Mamo, nie uważasz, że to przyjęcie jest trochę przedwcześnie? - Duncan rzucił Rose zakłopotane spojrzenie.

- Przedwcześnie? - zdziwiła się pani Burke. - Masz już przecież trzydzieści

dwa lata. Powiedziałabym, że to czas najwyższy! - Skrzyżowała ręce na piersi i wojowniczo uniosła podbródek.

Rose była zażenowana, że spierali się przy niej. Ogromnie żałowała, że nie może pójść śladem Farrella Burke'a.

- Ależ chętnie poznam przyjaciół twoich rodziców - zwróciła się do Duncana.

Och, dlaczego robił tyle szumu wokół zaimprovizowanego przyjęcia?

- A więc postanowione. - Pani Burke spojrzała z aprobatą na Rose i usiadła przy kuchennym stole. Dopiero teraz spostrzegła notatnik, w którym pani Burke czyniła jakieś zapiski.

Duncan odciągnął Rose na stronę i spytał szeptem:

- Jesteś tego pewna?

- Jeśli sprawi jej przyjemność małe, kameralne przyjęcie, dlaczego nie?

- Mama nie potrafi organizować małych, zaimprovizowanych przyjęć - oświadczył poirytowany.

W tym samym momencie Rose usłyszała pisk opon na wyżwirowanym podjeździe. Chwilę później Farrell Burke wsunął głowę do kuchni.

- Catering przyjechał - oznajmił.

- Mamo, co ty wyprawiasz?! - Z piersi Duncana wydobył się jęk oburzenia.

- Wszyscy chcą poznać Rose - powiedziała jego matka tonem, który miał świadczyć, że to ona jest rozsądna, Duncan zaś wprost przeciwnie.

Dostawcy obładowani wiktuałami pojawili się przy tylnych drzwiach. Duncan przeszedł przez kuchnię, żeby im otworzyć.

Rose z oczyma rozszerzonymi ze zdumienia przyglądała się wnoszonym niezliczonym pojemnikom z jedzeniem, kwiatom i różnym drobiazgom niezbędnym na przyjęciach.

Duncan natomiast patrzył na matkę chłodnym, oskarżycielskim wzrokiem.

- Pójdę uprasować zakiet - powiedziała Rose, wycofując się do wyjścia; ponieważ nikt jej nie zatrzymywał, uciekła na górę.

Nadine Burke zaplanowała wielkie przyjęcie. Duncan był z tego powodu wyraźnie zły. Rose nie miała w tej chwili czasu, by doszukiwać się w działaniach pani Burke jakiegoś ukrytego znaczenia. Była natomiast zadowolona, że przywiozła ze sobą stroje na wszelkie możliwe okazje. Prócz tenisa, oczywiście.

Spod stosu garderoby wyciągnęła czarną bluzkę, czarne spodnie oraz jedwabny, różnokolorowy żakiet - nowy nabytek Connie - do którego w miejsce zgubionego guzika przypięła broszkę ze sztucznego kryształu.

Z żakiem w ręku skierowała się z powrotem do kuchni po żelazko i deskę do prasowania. Przechodząc przez hol, zauważyła, że dekorowano stół ogromnym bukietem gardenii. Przed wejściem do kuchni przystanąła, słysząc głos pani Burke.

- Rose to naprawdę urocza dziewczyna. Zupełnie nie rozumiem, na co czekasz, Duncanie.

- Znowu się wtrącasz? - To był głos Duncana.

- Jak to znowu? Nigdy nie wtrącałam się w twoje życie.

- Więc, co to ma być?

- Subtelny kuksaniec - wyjaśniła pani Burke.

- Raczej mocne pchnięcie! - prychnął zniecierpliwiony.

- Proszę cię, mów ciszej...

- Powinnaś skonsultować się ze mną w sprawie tego przyjęcia, nie uważasz? -

Zniżył głos.

- Żebyś zdążył zaprotestować?

Zapadła cisza.

- Będę na przystani.

Dały się słyszeć kroki, a potem energiczne zamknięcie drzwi, nie tak jednak mocne, by nazwać je trzaśnięciem.

Dlaczego Duncan tak ostro przeciwstawiał się przyjęciu? Niestety, nie mogła go o to spytać, ponieważ wyszłoby na jaw, że podsłuchiwała... Odczekała chwilę, nim weszła do kuchni.

- Pani Burke, gdzie mogłabym znaleźć żelazko? - spytała.

Gdy matka Duncana uniosła głowę, nie można było poznać po jej twarzy, że przed chwilą posprzeczała się z synem.

- Proszę cię, mów do mnie Nadine, moja droga. - Wstała z krzesła i pokazała zamknięte drzwi.

- Dziękuję - powiedziała Rose. - Gdy skończę prasować, może mogłabym w czymś pomóc?

- Ależ nie trzeba... Nie jadłaś jeszcze lunchu! - Nadine przycisnęła palec do ust. - Zupełnie zapomniałam. Duncan też nie jadł. Zapytaj go, na co ma ochotę. Jest teraz na przystani...

Z przyjemnością popędziłaby prosto na przystań. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek. Zmusiła się, by starannie uprasować jedwabny żakiet. Duncan mówił przecież, że lubi samotnie kontemplować jezioro, by zebrać myśli. Postanowiła dać mu jeszcze trochę czasu.

Wracając do sypialni, zobaczyła szwadron ludzi przygotowujących dom na wieczorne przyjęcie. To nie wyglądało na improwizację... Rose nabrała pewności, że Nadine Burke zaplanowała ten wieczór wiele dni temu. Ciekawe, dlaczego?

Przebrała się ze stroju do gry w golfa w krótką dzinsową spódnicę, podkoszułek i sandały. Tak się ubierała, zanim poznała Duncana, i tylko w takim ubraniu czuła się swobodnie.

Duncan nie zauważył, gdy szła w kierunku przystani. Stał oparty o drewnianą barierkę i patrzył na łódki. Jego postawa, układ ramion, świadczyły, że jest napięty. Coś go dręczyło. Rose czuła treść przed zakłóceniem mu samotności.

- Jak tu przyjemnie - odezwała się, aby ostrzec, że nadchodzi.

Duncan zerknął przez ramię, a potem znów skierował wzrok na spokojne wody jeziora. To nie był dobry znak.

- Twoja matka pyta, co zjadłbyś na lunch - spróbowała znów nawiązać kontakt.

- Nie jestem głodny.

To był bardzo zły znak.

Rose natomiast umierała z głodu; obawiała się, że wieczorem będzie zbyt zdenerwowana, żeby jeść. Przystając obok Duncana przy barierce, ośmieliła się spytać:

- Jesteś zły na matkę?

- Tak... - Westchnął. - Chociaż wiem, że ma dobre intencje.

- Tak zwykle bywa. Moja matka ciągle ma nadzieję, że zmęczy mnie samotność i wróćę do domu, żeby poślubić jednego z miejscowych chłopców.

- I zrobisz to?

- Nie... - Z pewnością nie!

- Jesteś tego całkiem pewna? - Odwrócił się ku niej i stał teraz oparty na jednym łokciu.

Rose patrzyła mu prosto w oczy.

- Tak.

Wyciągnął rękę i założył jej za ucho niesforny kosmyk włosów.

- Ile czasu, zabrało ci nabranie całkowitej pewności? - Nie odrywał palców od jej ucha.

Rose wiedziała, że pyta o coś ważnego. O coś niezwykle ważnego...

- Poczucie pewności nie zależy od upływu czasu - odrzekła.

- Wydaje mi się, że... gdy dwoje ludzi jest sobie przeznaczonych... gdy coś nam odpowiada, orientujemy się natychmiast.

Przez nieskończenie długą chwilę patrzył jej w oczy. Woda miarowo uderzała o brzeg, w oddali przepływały białe żagle, a Duncan uśmiechał się coraz szerzej i szerzej.

- Rose - powiedział, chwytając ją za rękę - masz absolutną rację! - Nagle opuściła go udręka. Uśmiechał się radośnie i patrzył na nią oczyma błyszczącymi radością. Ścisnął ją za rękę.

- Chodźmy popedałować na rowerze wodnym!

- Na rowerze wodnym? - Bardzo chciała mu towarzyszyć, choć nie jadła lunchu.

Wahała się tylko chwilę. Czas spędzony sam na sam z Duncanem ważniejszy był od jedzenia!

Wspólnymi siłami zdjęli brezent i podnieśli zabezpieczającą pokrywę. Potem Duncan podał Rose kamizelkę ratunkową i wyjaśnił, jak ją założyć. Kobiety, które znał, a które w każdy niemal weekend pływały na jachtach, nawet we śnie potrafiły zapiąć kamizelkę. Rose po raz ostatni miała na sobie coś podobnego, gdy pływała kajakiem na obozie harcerskim.

Ale Duncan nie wyglądał na zdziwionego, pomagając jej uporać się ze sprzączkami pomarańczowej kamizelki. W ogóle był w świetnym humorze i stale się uśmiechał.

- Sprawdzimy teraz, czy nabrałaś kondycji na sali gimnastycznej - żartował.

Popołudnie mijało jak w bajce; Duncan był odprężony, opowiadał o swoich marzeniach i życiowych celach. Było to dla Rose niezwykle pouczające. Chłoneła wszystko, co go dotyczyło, i w efekcie nabrała całkowitej pewności, że byli dla siebie stworzeni.

Wolno pedałuując, przemierzili dwukrotnie długość jeziora i powrócili do domu dopiero późnym popołudniem.

- Mam nadzieję, że twoja matka nie martwiła się o nas - powiedziała Rose.

- Jeśli choć na chwilę wysunęła głowę z głównej kwatery dowodzenia, z pewnością zauważyła, że wzięliśmy rower. - Wystawił nogę, aby nie uderzyć o nabrzeże, a następnie wyskoczył i przycumował rower. Chwilę później pomógł Rose zdjąć kamizelkę ratunkową.

Nim weszli do domu, zatrzymał się na chwilę i popatrzył Rose prosto w oczy.

- Wiesz, gdzie jest gabinet mego ojca? - spytał dziwnie poważnym tonem.

Rose zaprzeczyła ruchem głowy.

- Pokażę ci. - Nadal uważnie jej się przyglądał. - Czy półtorej godziny wystarczy, byś przygotowała się na przyjęcie?

Wystarczyłby kwadrans, ale odpowiedziała twierdząco.

- W takim razie spotkamy się w gabinecie za półtorej godziny.

Oczy Rose rozszerzyły się ze zdumienia i poczuła nagle suchość w ustach.

- Dobrze - powiedziała prawie szeptem.

Przez dwadzieścia minut Rose chodziła tam i z powrotem po pokoju. Dłonie miała spoczone; powstrzymywała się, by nie wycierać ich o spodnie.

Duncan umówił się z nią w gabinecie ojca! To było ważne. To mogło być... to.

Zatrzymała się przed lustrem. Mark dał jej spinkę z czarną kokardą i zdemontował, jak zaczesać włosy do tyłu i ułożyć je za pomocą żelu. Czyżby użyła go zbyt dużo? A może za mało...? Czy był w porządku? A żakiet... Może żakiet był zbyt jaskrawy?

Weszła do łazienki, umyła ręce, potem zmoczyła ręcznik i przyłożyła go do karku. Była wykończona nerwowo. Kompletnie wykończona. Nic nie miała w ustach od śniadania i czuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie.

Duncan zamierzał porozmawiać z nią w gabinecie ojca... Jego rodzice zaprosili mnóstwo znajomych, by mogli ją zobaczyć. To musiało być to...

Głęboko oddychając, podeszła do okna. Widać stąd było podjazd, na który teraz zajeżdżały samochody wypełnione gośćmi. Jeszcze kwadrans dzielił ją od spotkania z Duncanem...

A jeśli Duncan, mimo aprobaty rodziców, doszedł do wniosku, że Rose do niego nie pasuje?

Na tę myśl zrobiło jej się słabo. Przyciskając rękę do serca, ciężko usiadła na łóżku. Kilka głębokich oddechów pomogło odzyskać równowagę i jasność widzenia. Nie, Duncan z pewnością nie zamierzał powiedzieć jej czegoś takiego!

Po raz ostatni chwyciła głęboki oddech, rzuciła jeszcze okiem w lustro, a po-

tem niepewnym krokiem zeszła na dół do gabinetu pana Burke'a.

Drzwi otworzyła bez pukania. Zaskoczony Duncan przystanął na środku dywanu. On także nerwowymi krokami przemierzał pokój. Rose kątem oka zauważyła półki z książkami, skórzany fotel i komputer stojący na biurku.

- Bałem się, że nie przyjdiesz - powiedział, podchodząc do niej.

- Dopiero kwadrans po siódmej, prawda? - upewniła się, zerkając na zegarek.

- Tak, oczywiście... - Palcami miętosił kołnierzyk koszuli.

- Usiądziesz?

- A mam to zrobić? - spytała zmieszana.

- Och... - Wsunął ręce do kieszeni, a potem szybko je wyjął. - Właściwie tu jest tylko jedno krzesło... - Chrząknął. - Rose...?

- Słucham?

Znów chrząkając, postąpił krok do przodu i ujął jej dłonie. Jego ręce były chłodne, oczy zaś poważne.

- Rose... - Urwał, zniecierpliwiony własną nieporadnością. - Wszystko dzieje się tak szybko...

Doskonale rozumiała, że sprawy mogły go przytłoczyć. Ostatecznie ona miała więcej czasu, by przyzwyczać się do myśli, że znalazła obiekt prawdziwej i wiecznej miłości.

- Wiesz, takie wydarzenia odbierają mi dech - powiedziała, przysuwając się do niego z zachęcającym uśmiechem.

Zarówno ręce, jak i wyraz jego twarzy nabrały ciepła.

- Nie znamy się długo - podjął z ożywieniem - ale serce mi mówi, że to nie ma znaczenia. Zakochałem się w tobie, Rose.

Rose zamrugnęła powiekami; w jej oczach pojawiły się łzy.

- Myślę, że zawsze cię kochałam, Duncanie.

Czołem dotknął jej czoła, ściskając ją za ręce. Potem z drżącym uśmiechem, przyklęknął na jedno kolano. Wstrzymała oddech.

- Rose Franklin, czy sprawisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rose zastygła w oczekiwaniu na anielskie chóry i odgłos trąb. Duncan Burke, jej druga połowa, poprosił ją o rękę! Wypełniło się przeznaczenie. Czyż nie powinny zagrać trąby?

Patrzyła na niego z czułym uśmiechem. Jak zwykle prezentował się nienagannie, ale tym razem w jego oczach dostrzegła cień wrażliwości. Niewątpliwie dał się ponieść emocjom. A więc gdzie się podziały trąby?

- Rose... - W głosie jego słychać było niepewność.

Udało się jej wytrzymać jeszcze sekundę. Komu zresztą potrzebne były trąby?

- Och, Duncan! Tak, och tak. Będę bardzo zaszczycona, jeśli zostanę twoją żoną.

Szczyście rozpromieniło jego przystojną twarz. Wstając, mocniej uściśnął jej dłoń.

- Wiem, że znamy się krótko - powtórzył - ale nie sądzę, bym kiedykolwiek w przyszłości mógł pokochać cię bardziej.

Na takie romantyczne wyznanie czekała.

- Och, Duncan... - Wiedziała, że w tej szczególnej chwili zachowuje się nieporadnie i naiwnie, ale Duncan zdawał się tego nie zauważać.

Nadal ścisnął jej rękę. Czy nie powinien jej teraz pocałować?

Myśl ta powstała w ich głowach w tym samym momencie. Jednocześnie pochylili się do przodu i nieoczekiwanie zderzyli się nosami. Wybuchnęli śmiechem. A potem Duncan, przestając się śmiać, ujął jej głowę w dłoń i pocałował ją delikatnie, słodko, więcej niż raz. Zaręczyny zostały przypieczętowane. Rose westchnęła ze szczęścia.

- Mam coś dla ciebie. - Duncan sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął welwe-

towe pudełko. - Gdy byłem dziś rano w mieście, wpadło mi to w oko. - Otworzył pudełko.

Rose oślepił blask światła odbitego w pierścionku. Rozmiar brylantu przykuwał uwagę każdego.

Duncan wsunął Rose pierścionek na palec.

- Jest taki duży... - westchnęła.

Nikt z jej znajomych nie miał tak kosztownego pierścionka. Wpatrywała się w niego i poruszała palcami; brylant rzucał magiczne refleksy i tęczowe iskierki, przyciągając uwagę.

- Potem dopasujemy pierścionek, ale dziś chciałem ci zrobić niespodziankę. - Przetarł dłonią czoło i uśmiechnął się ponuro. - Zresztą rodzice nie zostawili mi czasu do namysłu.

- Poinformowałeś rodziców, że bierzemy ślub? - Rose jak urzeczona patrzyła na pierścionek. Postanowiła, że nigdy więcej nie będzie miała krótkich, nie pomalowanych paznokci...

- Jeszcze nie. Sam tego nie wiedziałem, zapraszając cię tutaj. Ale widocznie matka mnie przejrzała, ponieważ, jak widzisz, urządza nam zaręczynowe przyjęcie. I tylko czeka na mój sygnał. - Duncan podniósł jej rękę. - Jeśli nie podoba ci się ten pierścionek, możesz wybrać inny - zaproponował.

O Boże, pomyślał, że nie podoba jej się pierścionek! Komu nie spodobałby się taki pierścionek?

- Jest piękny - powiedziała zaskoczona. - Jestem tylko oszołomiona... - Uśmiechając się, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. - Dziękuję.

- Ja też czuję się oszołomiony. Nigdy nie sądziłem, że mogę być taki impulsywny. - Popatrzył na nią czule. - Widzisz, co ze mną zrobiłaś?

To miał być komplement, ale Rose nagle poczuła na ciele zimny dreszcz. Przecież nic nie zrobiła! Po prostu stanęła mu na drodze tyle razy, aż wreszcie ją zauważył. I naprawdę szczerze się w niej zakochał... Przecież jej się oświadczył.

A ona go przyjęła. Miała poślubić młodego, dynamicznego i niewiarygodnie przystojnego Duncana Burke'a. Pani Duncanowa Burke...

Jakby czytając w jej myślach, podał jej ramię.

- A teraz, czy przyszła pani Burke gotowa jest poznać gości?

- Tak - wyszeptała, biorąc go pod ramię.

Spełniły się jej marzenia. Kopciuszek znalazł swego księcia...

Gdy wychodzili z gabinetu i przemierzali korytarz, Rose powtarzała sobie w myślach wszystko, czego nauczyła się przez minione dwa tygodnie. Właśnie teraz miała zdać egzamin na przyszłą panią Burke. I chciała go zdać.

Gdy pojawili się w drzwiach salonu, pani Burke pospieszyła im na powitanie.

- Och! - Przystanęła i splotła razem dłonie. - Nie musicie nic mówić. Widzę to po waszych twarzach!

Duncan spojrzał z góry na Rose. Rose uśmiechnęła się promiennie; łzy napływały jej do oczu.

- Proszę posłuchać! - Gospodyni klasnęła w dłonie. - Musimy coś ogłosić. - Farrell? Gdzie jesteś, kochanie? - Tłum rozstąpił się, gdy pani Burke z uradowaną twarzą wyciągnęła rękę, aby uścisnąć dłoń syna. Po chwili Rose utonęła w serdecznym uścisku. - Poznajcie Rose, naszą przyszłą synową! - powiedziała wreszcie podnieconym głosem.

- Szampana! - zawołał pan Burke, dając znak kelnerowi.

Ludzie, których Rose widziała po raz pierwszy w życiu, zgromadzili się wokół niej, ściskali jej dłoń, podziwiali brylantowy pierścionek, składali gratulacje.

Jakaś brunetka niewiele starsza od Rose uniosła brwi.

- Interes kwitnie, jak rozumiem? - powiedziała do Duncana, a pochylając się ku Rose, szepnęła: - Niezła zdobycz, kochanie!

- To ja miałem szczęście - powiedział Duncan stanowczo.

I chcąc podkreślić swe słowa, objął Rose ramieniem.

Kobieta odeszła, złośliwie chichocząc pod nosem.

- Nie zwracaj na nią uwagi - szepnął Duncan do ucha Rose. - Debora jest drugą żoną Philipa Aldermana i właściwie nigdy do nas nie pasowała.

- Philip rozwiódł się z biedną Charlottą po trzydziestu dwóch latach małżeństwa - wtrąciła pani Burke - aby poślubić to... zero wspinające się po drabinie społecznej. - Patrząc za nią, zmarszczyła brwi. - Tolerujemy ją ze względu na Philipa, choć ona, prawdę mówiąc, nigdy nie będzie do nas należeć.

Rose poczuła się niezręcznie; przełknęła ślinę. Obserwowała, jak Debora wolno przechodzi przez tłum. Kobiety witały ją wymuszonymi uśmiechami lub ostentacyjnie odwracały głowy.

To okropne, gdy wszyscy cię unikają... Rose nie potrafiłaby tego znieść. Przysięgła sobie, że postara się mówić i robić jedynie to, co właściwe, tak aby nikt nie mógł patrzeć na nią z góry. Musi się kontrolować. Przez cały czas.

Tłum wokół niej zgęstniał. Została jeszcze bardziej przyciśnięta do boku Duncana, ale to jej nie przeszkadzało. Przynajmniej czuła się bezpieczniej i pewniej.

- Gdzie odbędzie się ślub? Kiedy?

- Czy przyjęcie urządzicie w klubie?

- Czy jej rodzice też są członkami? Czy ich znamy?

- Gdzie mieszkają?

Pytania padały tak szybko, że Rose miała szansę odpowiedzieć tylko na ostatnie.

- We wschodnim Teksasie! - krzyknęła, by przebić się przez gwar.

- To straszne! - Kobieta ubrana w ciemnoniebieski, błyszczący kostium wyrzuciła ręce do góry. - We wschodnim Teksasie nie ma takiego miejsca, gdzie mógłby odbyć się wasz ślub, dziecko.

Rose nie zastanawiała się jeszcze, gdzie chciałyby wziąć ślub. W marzeniach zawsze brała ślub w kościele z kolorowymi witrażami, masywnymi ławkami dla gości i wielkimi organami. A ubrana była, oczywiście, w suknię wyszywaną pereł-

kami. Cóż, w jej małym, wiejskim kościółku nie zmieściłby się nawet tren tej sukni! Rose westchnęła. Suknia jej marzeń. Mężczyzna jej marzeń. Życie było naprawdę cudowne!

Spojrzała na Duncana. Pochylił głowę tak nisko, że prawie dotykał jej włosów. Rose z lubością wciągnęła w nozdrza zapach jego świeżo ogolonego policzka.

- Weźmiemy ślub w Houston - powiedziała.

- Jesteś pewna?

- Tak. Teraz tutaj jest mój dom.

- Ślub odbędzie się w Houston - oznajmił głośno, ściskając dłoń Rose.

Te słowa wywołały kolejną eksplozję pytań.

Ubrana w niebieski brokat kobieta chwyciła Nadine za ramię.

- Rozumiem, że przyjęcie przygotowuje firma Yve? - mówiła z naciskiem. - Będziesz musiała porozmawiać na ten temat z jej matką. I bądź twarda. Wiesz, jakie są matki panien młodych... - Rzuciła Rose bardzo osobliwe spojrzenie,

- Jestem przekonana, że razem z matką Rose znajdziemy odpowiednią firmę - powiedziała Nadine Burke, dyskretnie wyzwalając rękę z uścisku.

Wszystko działo się w błyskawicznym tempie. Rose nie zdążyła nawet pomyśleć o swoich rodzicach. Ależ będą zdziwieni! Sama była przecież zaskoczona. W najśmielszych snach nie przypuszczała, że dziś jej się Duncan oświadczy.

- Myślałam, że na weselu podamy ciasto i poncz - powiedziała słabym głosem. - Coś prostego... I niedrogiego.

Zapadła niezręczna cisza.

Ktoś wsunął do ręki Rose kieliszek szampana.

- Za szczęśliwą przyszłość państwa Burke'ów! - Farrell uniósł kieliszek.

Rose zaczęła sączyć szampana. Był dobry. Naprawdę dobry. Wypiła więcej. Był wspaniały. Zrobiło jej się cieplej. Bąbelki poprawiły jej nastrój. Wypiła do dna.

Gdy odjęła kieliszek od ust, spostrzegła, że zgromadzeni wokół goście dziwnie jej się przyglądają.

Nadine Burke skinęła na kelnera.

- A dlaczego miałyby nie wypić? - Posłała kobietom wyzywające spojrzenie. - Zawsze wydawało mi się śmieszne, że osoba, na której cześć wznosi się toast, musi stać z głupim uśmiechem na ustach, podczas gdy reszcie wolno pić.

Rose dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie powinna wypić szampana. Przeżona gafą popatrzyła błagalnie na Duncana. Stał z nietkniętym kieliszkiem, ale gdy napotkał jej wzrok, z premedytacją podniósł kieliszek do ust i wypił jego zawartość.

Rose zaczęła się rumienić, ale jedyne, co mogła zrobić, to zamienić pusty kieliszek na pełen, gdy pojawił się znów kelner z tacą. Duncan uczynił to samo.

- Dziękuję państwu za życzenia - powiedział.

Teraz mogli wypić i to zrobili. Ale Rose miała nieprzyjemne uczucie, że wszyscy im się przyglądają.

Oby to jedno potknięcie zostało przypisane zdenerwowaniu młodej narzeczonej... Być może, jeśli potem wszystko pójdzie dobrze, Rose będzie zaakceptowana... Och, wolałaby umrzeć, niż wprowadzić w zakłopotanie Duncana lub jego rodziców!

Z powodu stresu rozboleła ją głowa; dopadły ją wątpliwości, czy kiedykolwiek nauczy się swobodnie zachowywać w świecie Duncana.

- Rose... Rose, nieprawdaż?

Rose skinęła głową kobiecie o ostrych rysach, która rzucała ukradkowe spojrzenia na jej pierścionek.

- Nadine mi powiedziała, że masz własny butik w Village?

- Suknia Stephanie Donahue pochodziła z jej sklepu - wtrąciła pani Burke.

- Och! - To zrobiło na niej wrażenie. - Ta suknia po prostu zapierała dech.

- Czy również stamtąd pochodzi twój olśniewający żakiet? - spytała dama ubrana w niebieski brokat.

- Tak - przyznała nieśmiało Rose.

- To śmieszne, Joyce, miałam taki sam żakiet i nigdy ci się w nim nie podobałam.

Wszyscy odwrócili się i wpatrywali w Deborę Alderman, z niezmaconym spokojem popijającą szampana.

- Ten żakiet wygląda o wiele lepiej na Rose - odparła Joyce. - Do tego stopnia lepiej, że nawet go nie rozpoznałam.

- Ale ja go rozpoznałam! - Debora uśmiechnęła się zabójczo. - Ale nie martw się, już go nie włożę. Gdy zgubiłam górny guzik, oddałam go do małego, zapyzianego sklepiku z używaną odzieżą w Village.

Rose odniosła wrażenie, że wszyscy wpatrują się w miejsce, gdzie broszka ze sztucznego kryształu zastępowała brakujący guzik.

- Och, Boże! - Okrzyk pełen fałszywego współczucia wypełnił ciszę. - Twój żakiet też nie ma górnego guzika!

Rose chciała umrzeć. Albo zniknąć. Albo przynajmniej zemdleć... Cokolwiek, by ta straszna chwila się skończyła.

Nie potrafiła spojrzeć ani na Duncana, ani na jego matkę. Patrzyła tylko na złośliwe oczy Debory Alderman.

- Skończył ci się szampan, Deboro - powiedział Duncan nienagannie uprzejmym tonem. - Pozwól, że cię odprowadzę do bufetu. - Delikatnie poklepał Rose po dłoni i odszedł.

Nie opuszczaj mnie. Jeśli naprawdę mnie kochasz, zostań i pomóż mi przez to przejść!

Och, została poniżona. Przyłapano ją na noszeniu rzeczy, których pozbyła się kobieta będąca towarzyskim pariasem. Och, z pewnością Duncan wypyta teraz Deborę o resztę... Debora opowie mu o „Zakątku Rose”, o „małym, zapyzianym sklepiku z używanymi rzeczami”, i wówczas zrozumie, że Rose nie jest tą wyszukaną, światową kobietą, za jaką ją uważał. Dowie się, że elegancko ubrana kobieta, która, jak się zdawało, należy do towarzystwa - była po prostu oszustką. A może „zerem

wspinającym się po drabinie społecznej"?

Właśnie tak myśleli. Rose doskonale o tym wiedziała. Jej wizerunek, który doznał już wcześniej uszczerbku, teraz zostanie zrujnowany. Wszyscy zorientują się, z kim mają do czynienia...

Rose postanowiła zniknąć, nim wprawi Duncana i państwa Burke'ów w jeszcze większe zakłopotanie. Spojrzała niepewnie w zaintrygowane oczy Nadine i powiedziała:

- Nie zdążyłam zadzwonić do moich rodziców. Proszę mi wybaczyć...

- Oczywiście, oczywiście. - Nadine uśmiechnęła się, ale Rose dosłyszała w jej głosie ulgę.

Rodzina Duncana starała się uniknąć przykrej sceny. A zatem Rose im pomoże. Świadoma, że przyciąga spojrzenia wszystkich zebranych, wyszła z pokoju z całą godnością, na jaką było ją stać. Przynajmniej tyle była winna Duncanowi.

Gdy znalazła się poza zasięgiem wzroku, zaczęła biec. Wpadła do pokoju, zamknęła drzwi i łkając, rzuciła się na łóżko.

Była tak bliska od urzeczywistnienia marzeń! Gdybyż miała więcej czasu na naukę, na przygotowanie się do roli żony Duncana. Trochę więcej czasu, by stać się wykształconą, światową kobietą, jaką powinna być pani Duncanowa Burke. Taką kobietą, za jaką uważał ją Duncan. Kobietą - którą kochał.

A teraz miał odkryć, że zakochał się w wytworze własnej wyobraźni. Przecież nie znał prawdziwej Rose. Na prawdziwą Rose nawet nie zechciałby spojrzeć po raz drugi. „Nigdy się nie zmieniaj” - powiedział tego dnia, gdy próbowali grać w tenisa. A przecież, od chwili gdy spotkała go po raz pierwszy, usilnie próbowała się zmienić!

Miała wrażenie, że budzi się z długiego snu. Sen... Ostatnie tygodnie były jedynie snem. Tylko śniło jej się, że może udawać kogoś innego...

Jak długo Duncan dałby się oszukiwać? Było kwestią czasu, gdy jej ignorancja zaczęłaby go irytować. Jak długo znosiłby uwagi i złośliwości na jej temat, po-

dobne do tych, którymi raczono Deborę?

Była głupia, myśląc, że sama miłość wystarczy, że są dla siebie stworzeni i nic więcej nie ma znaczenia. Jakże się myliła!

Dochodziła północ. Nie mogła tu dłużej zostać. Nie należała do tego świata i nie chciała narażać rodziny Burke'ów na jeszcze cięższe przejścia. Wyjedzie stąd po cichu. Zaraz.

Nie zapalając światła, wyciągnęła walizki i szybko się spakowała. Łzy zdążyły już wyschnąć i zaczęła myśleć praktycznie.

Jej pokój znajdował się w bocznym skrzydle, ale okno wychodziło na frontowy dziedziniec. Rose otworzyła je, wyrzuciła na zewnątrz walizki i usiadła na parapecie. Właśnie wtedy, w przytłumionym blasku księżyca, uwagę jej przykuł pierścionek zaręczynowy.

Brylant stracił cały urok; kamień wyglądał tandetnie i fałszywie. Tak samo jak Rose. Zsunęła pierścionek z palca i odłożyła go na nocny stolik. Nigdy nie czułaby się swobodnie, nosząc tej wielkości brylant. To także świadczyło, że nie była odpowiednią żoną dla Duncana Burke'a.

Gdy Rose niosła walizki do garażu, nikogo nie zauważyła w pobliżu. Gratulowała sobie w duchu udanej ucieczki. Dopiero w garażu spostrzegła, że samochody zaparkowane na podjeździe zastawiły jej wypożyczonego mercedesa. Nie mogła się stąd wydostać! Chyba że...

Wzrok jej przykuł mały meleks służący do poruszania się po polu golfowym. Wiedziała, że pan Burke po skończonej grze w golfa zostawił kluczyki w stacyjce. Odetchnęła z ulgą. To nie będzie łatwe, ale da sobie radę.

Szybkim ruchem wrzuciła walizki do tyłu, wskoczyła na przednie siedzenie i uruchomiła silnik.

Elektryczny samochodzik głośno pracował; Rose zaniepokojona, czy nie wzbudzi podejrzania gospodarzy, ostrożnie wycofała pojazd z garażu. Zsunęła z nogi pantofle na wysokich obcasach, dzięki czemu łatwiej jej było sterować peda-

łami. Po kilku pełnych napięcia sekundach wyjechała tyłem z garażu. Gdy była już przy końcu podjazdu, ktoś otworzył frontowe drzwi domu. Raptownie docisnęła pedał gazu. Na wyboju samochodzik podskoczył gwałtownie i jeden z leżących na podłodze pantofli wypadł na zewnątrz.

- Rose! Rose, jesteś tam...? - Na tle otwartych drzwi zarysowała się wysoka postać.

Duncan! Nie mogła dopuścić, by przyłapał ją na ucieczce. Szybko skręciła na ścieżkę prowadzącą do budynku klubu golfowego.

Jeśli Duncan zorientuje się, że uciekła, z pewnością będzie usiłował ją odszukać... Sprawdzi dowód rejestracyjny mercedesa, a wtedy odkryje, że samochód należy do wypożyczalni... To bez wątpienia pograży ją w oczach rodziny Burke'ów.

Ale wtedy już dawno jej tutaj nie będzie. Za kilka minut dotrze do klubu golfowego, zostawi tam meleksa i weźmie taksówkę. Sprawą wypożyczonego mercedesa zajmie się później.

Z bijącym sercem podjęła ryzyko i odwróciła głowę.

Ale zamiast spodziewanych oznak pościgu, zobaczyła jedynie wysoką, samotną postać stojącą na przystani.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kilka godzin później Rose dotarła do domu. Otworzyła tylne drzwi, wniosła walizki na górę i poszła prosto do sklepu. Chwilę później powiesiła wyszywaną perłkami suknię ślubną razem z innymi ubraniami przeznaczonymi na sprzedaż. Wyceniła suknię o wiele poniżej ceny, jaką mogłaby za nią uzyskać.

Ktoś będzie szczęśliwy, trafiwszy taką okazję, pomyślała. Natomiast ona przynajmniej nie będzie musiała na nią dłużej patrzeć. Wiedziała, że już nigdy tej sukni nie włoży.

Gdy wczesnym rankiem Connie pojawiła się w sklepie, Rose przeglądała księgi rachunkowe.

- Jak minął weekend? - zagadnęła od progu. - Zrobiłaś dobre wrażenie na jego rodzicach?

- Zrobiłam ogromne wrażenie na jego rodzicach - powiedziała wolno Rose, odrywając wzrok od rachunków.

- To wspaniale! - Twarz Connie rozjaśnił uśmiech. - Jeśli jego rodzice cię polubili, wygrałaś pierwszą bitwę.

Rose, oczywiście, przegrała całą wojnę, ale nie zamierzała obciążać przyjaciółki swoimi kłopotami. Connie zdała już egzaminy semestralne na uniwersytecie i wybierała się do domu na wakacje.

- Czy nie pora obniżyć ceny na niektóre rzeczy? - spytała Rose, aby zmienić temat.

- Być może... - odparła Connie niepewnie. - Przykro mi, że zrobiłam taki nieład - tłumaczyła się, wskazując na pudła stojące pod ścianą - ale, jak wiesz, miałam egzaminy...

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Rose. - Dam sobie radę.

- Z robotą papierkową też jestem do tyłu - ciągnęła skruszonym głosem. - Nie wysłałam jeszcze czeków za rzeczy sprzedane w maju.

Rose zdążyła już to odkryć.

- No cóż, i tak musiałabym podpisać te czeki - powiedziała pojednawczo.

- Tak właśnie sądziłam. - Po chwili ciszy Connie dodała niepewnym głosem: - Chcesz, bym dziś została w sklepie?

- Nie. Wiem, że się pakujesz. - Rose wyszła z za kontuaru i przyniosła pożyczone walizki. - Dzięki za wszystko, Connie.

- Wiesz, przydałyby mi się dodatkowe pieniądze. - Connie uśmiechnęła się radośnie, a oczy jej zabłysły. - Będziemy ich teraz potrzebować.

- My? - Rose uniosła brwi.

- Mark i ja bierzemy ślub! - oznajmiła uradowana.

- Ślub? - Connie wychodziła za mąż! Wyjawiała nowinę, którą powinna oznajmić Rose! - Och! - Rose objęła przyjaciółkę i mocno uściskała. - Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa... - Głos jej się załamał.

- Pobieramy się dopiero w przyszłym roku - wyjaśniła Connie. - Nie musisz jeszcze płakać.

- Przepraszam. - Rose chrząknęła i wyjęła chusteczkę. - Jestem szczęśliwa z twojego powodu. A smutno mi z mojego...

Connie przyglądała jej się w skupieniu. Rose zdawała sobie sprawę, że zareagowała zbyt emocjonalnie. Nie była to jednak pora na wyjaśnienia.

Wiedziona impulsem Rose zdjęła nieszczęsny jedwabny żakiet z wieszaka.

- Proszę, weź go w prezencie - powiedziała. - Wiem, że ci się bardzo podoba.

- Ukradkiem odpięła metkę z ceną. Obniżyła ją znacznie, by szybciej pozbyć się żakietu ze sklepu.

- Jesteś pewna...? - Connie pogłaskała jedwab z wyrazem tęsknoty na twarzy, potem rzuciła ostatnie smutne spojrzenie na „Zakątek Rose”. - Och, chciałabym ci pomóc w lecie, ale...

- Jedź do domu, Connie. - Rose włożyła żakiet do walizki. - Potrzebujesz odpoczynku przed jesiennym semestrem. I zacznij przygotowywać się do ślubu. Ślub

wymaga mnóstwo zachodu; przynajmniej tego mogłaś się tutaj nauczyć.

- Dzięki, Rose.

Znów się uścisnęły. Rose odprowadziła przyjaciółkę do drzwi i stała tam, machając ręką, aż Connie wsiadła do samochodu i odjechała. Ale gdy Connie zniknęła z pola widzenia, Rose ciężko oparła się o framugę. Doskonale zdawała sobie sprawę, że latem nie stać jej będzie na zatrudnianie personelu...

Gdy przebywała w świecie iluzji, sklep wyraźnie podupadł. Sprzedaż obniżyła się niemal o połowę. Nie zamieściła reklam w lokalnej prasie i dochody z wypożyczania sukien na bale maturalne drastycznie zmały. Lato zapowiadało się ponuro.

Potrzebowała gotówki. Musiała przecież zapłacić agencji za sprowadzenie mercedesa, po odzyskaniu zaś własnego samochodu, gdy zatrzymała się, by napełnić bak, ku jej ostatecznemu poniżeniu nie zaakceptowano karty płatniczej, ponieważ przekroczyła stosowny limit kredytu.

Co prawda, nie była jeszcze zrujnowana, ale będzie musiała żyć bardzo oszczędnie, aż spłaci wszystkie długi. I choć potrwa to zapewne długie lata, niezbyt się tym przejmowała. W gruncie rzeczy była zadowolona, że podjęła próbę urzeczywistnienia swych marzeń.

Mijały ponure, jednostajne dni. Rose od rana do nocy inwentaryzowała rzeczy, wyceniała je i naprawiała. Potem padała z nóg. Tylko sen kołował ból serca.

Z jednej strony, drżała na myśl, że Duncan ją odnajdzie, z drugiej zaś, obawiała się, że w ogóle nie będzie jej szukać. Myśl o spotkaniu z nim napawała ją przerażeniem. Woląca zapamiętać go takim, jakim był, zanim Debora Alderman wypowiedziała złowieszcze słowa.

Z pewnością dowiedział się już, że jej sklep nie był żadnym ekskluzywnym butikiem. Dowiedział się także, że srebrny mercedes nie należał do niej i zapewne domyślił się całej reszty. Nazwisko jej nie było znane w żadnej restauracji, nie pojawiała się na żadnej liście gości...

Duncan Burke wkrótce się dowie, o ile już się nie domyślił, że Rose Franklin była zwykłą oszustką.

Z pewnością będzie zły. Poczucie się urażony w swej dumie. Trudno. Rose była pewna, że taki mężczyzna znajdzie bez kłopotu pocieszycielkę - kobietę, która będzie go warta.

Ale jednocześnie była pewna, że nie znajdzie nikogo, kto kochałby go bardziej niż ona...

Za każdym razem, gdy dzwonił dzwonek do drzwi lub telefon, podskakiwała nerwowo na krześle, choć powtarzała sobie wielokrotnie, że nawet gdyby chciał, nie będzie w stanie jej odnaleźć. Nigdy przecież nie podała mu adresu ani numeru telefonu. Z pewnością Duncan nie poniży się, by spytać o to Deborę, nawet jeśli Debora pamiętałaby nazwę „małego, zapyziałego sklepiku z używaną odzieżą”.

Doszła wreszcie do wniosku, że Duncan, gdy pierwszy gniew minie, będzie szczęśliwy, że odeszła bez słowa.

Tylko ona już nigdy nie będzie szczęśliwa. Serce miała złamane na zawsze. Nie żałowała jednak niczego, może prócz tego, że musiała oszukiwać... Ale inaczej przecież nie poznałaby Duncana i nigdy by nie zaznała prawdziwej miłości.

Problem polegał jednak na tym, że sama miłość nie wystarczała jej do szczęścia.

Rose trzymała się całkiem nieźle.

W czwartek - w porze, kiedy Duncan zwykle grał w tenisa, a także nieco później, gdy powinna być na kursie - przeżyła kilka ciężkich momentów, ale nie załamała się. Udało jej się nawet zmienić dekorację wystawy.

Dopiero w piątek wydarzyła się katastrofa. Doręczono jej zaproszenie na ciasto i poncz do nowo otwartej sali spotkań, znajdującej się w supermarkecie Bread Basket. Kierownictwo sieci udostępniało tę salę bezpłatnie mieszkańcom i kupcom Village. Zainteresowani uczestnictwem w spotkaniu powinni zatelefonować pod wskazany w zaproszeniu numer.

Rose wolno podeszła do lady i usiadła na stołku. Zaproszenie wydrukowane na błyszczącym papierze zostało starannie zaprojektowane; nie ulegało wątpliwości, że była to profesjonalna robota Burke'a i Bernarda. Może nawet sam Duncan miał w ręku ten kawałek papieru...?

I właśnie wtedy się załamała. Przyciskając ulotkę do piersi, wybuchła płaczem na wspomnienie utraconych marzeń i utraconej miłości.

- Spodziewałem się, że na widok zaproszenia zareagujesz radośniej. - Głos był głęboki, męski i znajomy. I był gdzieś bardzo blisko... - Twój pomysł zorganizowania sali spotkań stał się rzeczywistością.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Duncan?

- Witaj, Rose - powiedział miękko.

Na moment wykrzywił usta, jakby zamierzał się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł mu na ustach.

Rose wytarła oczy papierową chusteczką. Łzy nie dodawały urody, ale teraz to nie miało znaczenia. Pociągając nosem, patrzyła na Duncana w milczeniu.

Jego niebieskie oczy straciły cały blask. Czyżby go zraniła?

- Co tutaj robisz? - Poczucie winy nadało jej głosowi ostre brzmienie.

Przez długą chwilę myślała, że w ogóle się nie odezwie. Potem, uśmiechając się półgębkiem, delikatnie położył jakiś przedmiot na ladzie.

Jej czarny pantofel!

- Zjeździłem całe Village w poszukiwaniu blond dziewczycy, która zgubiła pantofelek. Zechcesz przymierzyć i sprawdzić, czy pasuje?

- Jak mnie tu znalazłeś? - spytała, przechylając głowę.

- Chyba się nie ukrywałaś, prawda?

- A musiałam? - Rose wytarła zabłakaną łzę.

Duncan oparł łokcie na ladzie i przechylił się do przodu.

- Nie musiałaś - odparł z naciskiem.

- Nie sądziłam, że znasz mój adres albo nazwę sklepu...

Milczał tak długo, aż spojrzała na niego zdziwiona. Ból w jego oczach nagle zamienił się w gniew.

- Za kogo ty mnie uważasz?

- O co ci chodzi...? - spytała przerażona jego ostrym tonem.

- Przecież prosiłem cię o rękę! - Z całej siły zacisnął palce w pięść. - Czy naprawdę wierzyłaś w to, że poprosiłbym jakąś kobietę, żeby dzieliła ze mną życie, nic o niej nie wiedząc?

- Właśnie to zrobiłeś - odparowała.

- Wyjaśnij mi to!

Słyszając groźbę w jego głosie, Rose osunęła się na krzesło. Zanosił się na awanturę.

- Chodzi mi tylko o to, że nie jestem kobietą, za którą mnie uważasz - zaczęła niepewnie.

- Z tym się całkowicie zgadzam. - Duncan zbliżył się do niej. - Nigdy bym nie podejrzewał, że możesz wymknąć się w środku przyjęcia, pozostawiając mnie w rozpacz, a moich rodziców w kłopotliwej sytuacji! Co takiego się stało?

Co się stało?!

- Przecież tam byłeś i słyszałeś słowa Debory!

- Słyszałem, że zrobiła jakąś uwagę na temat twojego żakietu. Coś o guziku... A następnie zorientowałem się, że cichaczem wyjechałaś.

- Nic nie rozumiesz? - Rose wpatrywała się w niego ze zdziwieniem. - Żakiet, który miałam na sobie, był kiedyś jej własnością!

Po wyrzuceniu z siebie tej przerażającej informacji, spojrzała Duncanowi prosto w oczy przygotowana, że ujrzy grymas obrzydzenia lub niechęci. Ale jego twarz pozostawała nieruchoma. To oczywiste, prawda była porażająca i nie potrafił jej pojąć.

- To był ten sam żakiet - powtórzyła. - I każdy się zorientował, ponieważ De-

bora specjalnie powiedziała o zgubionym guziku, który zastąpiłam broszką ze sztucznego kryształu, która kiedyś też należała do kogoś innego...

Już. To powinno poskutkować. Rose z ramionami skrzyżowanymi na piersi czekała na wybuch.

- Poczułaś się znieważona i dlatego uciekłaś?

Zamknawszy oczy, skinęła głową.

- Zostałam poniżona - szepnęła.

- Debora to złośliwa bestia - mruknął pod nosem. - Chciała cię wprawić w zakłopotanie. Już rozmawiałem o tym z rodzicami i możesz być pewna, że Debora nie zostanie zaproszona na nasz ślub.

- Och, przestań! Obydwoje wiemy, że nie będzie żadnego ślubu.

- Nie powiedziałem rodzicom, że zostawiłaś pierścionek... - Sięgnął do kieszeni. - I nie musimy im o tym mówić.

- Duncan! - Rose energicznie potrząsnęła głową. - Odszedłeś z Deborą i nie widziałeś tego, co stało się później. Wszyscy zaczęli szeptać. Zobaczyłam wyraz twarzy twojej matki... Była wstrząśnięta.

- Oczywiście, że tak! Skoro jeden z gości obraził jej przyszłą synową!

- Och, mylisz się, Duncan! Ona właśnie wtedy odkryła, że jej przyszła synowa jest... nikim.

- Nawet ryzykując, że mnie oskarżysz o lekceważenie twoich uczuć - odparł z namysłem - śmiem twierdzić, że wyobraziłaś sobie te reakcje. Ludzie byli źli na Deborę, nie na ciebie. - Zmusił się do uśmiechu. - Nie miałaś najmniejszego powodu do ucieczki.

On nic nie rozumiał! To dziwne, ale Duncan, nie zorientował się jeszcze, jak bardzo go oszukała... Jakże łatwo byłoby teraz wszystko zbagatelizować, uśmiechnąć się, wpaść w jego ramiona, pozwolić, by z powrotem wsunął pierścionek na jej palec!

Ale Rose nie mogła tak postąpić. Być może jeszcze nie rozumiał, ale nieba-

wem zrozumie. Nie mogłaby żyć w atmosferze ciągłego zagrożenia, bojąc się spotkań towarzyskich i zastanawiając, kiedy znów zostanie zdemaskowana.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała sama do siebie.

Zbierało jej się na płacz, resztkami sił powstrzymywała łzy.

- Czego nie możesz zrobić?

- Nie mogę nadal udawać, że jestem kimś, kim nie jestem.

Roześmiał się.

- A kogo udajesz, można wiedzieć?

- Kobietę wyrafinowaną, światową, która odniosła życiowy sukces... Kogoś, kto zna się na sztuce i muzyce, bywa w drogich restauracjach i nosi markowe ubrania. Kogoś, kto posiada mercedesa! Och! - Zakryła twarz dłońmi.

- Rose... - Duncan obszedł ladę i objął Rose ramieniem.

Ton jego głosu w dziwny sposób ją poruszył. Gdyby krzyczał, przeklinał lub coś w tym rodzaju... Ale przeciwnie, on wypowiedział jej imię tak, jakby ją naprawdę kochał! To dodało jej odwagi i opowiedziała całą resztę. O przeczytaniu terminarza... i wszystkim, co się potem zdarzyło.

- Okłamywałam cię przez cały czas - zakończyła.

Spodziewała się, że przynajmniej spiorunuje ją wzrokiem albo odsunie się od niej z niesmakiem na twarzy. On jednak uścisnął ją mocniej ramieniem.

Rose zwiesiła bezwładnie głowę na jego piersi. Nie mogła się powstrzymać; ramiona miał tak silne i ciepłe, ona zaś potrzebowała ukojenia.

- Kłamałaś... o wszystkim? - spytał nagle, a gdy skinęła głową, bez wątpienia brudząc mu koszulę makijażem, dodał z wyraźnym napięciem: - O tym, że mnie kochasz, też?

- Och, nie! - Odsunęła się, by spojrzeć mu w twarz. - Na ten temat nigdy nie kłamałam! - zapewniła żarliwie.

- A więc mnie naprawdę kochasz? - Uśmiechnął się czule.

- Tak. Właśnie dlatego to wszystko zrobiłam.

- Ja też cię kocham, Rose. - Westchnął głęboko. - Może więc zaczniemy od początku?

Pokusa była ogromna, ale odepchnęła ją.

- Nie możesz mnie kochać - powiedziała z nie skrywanym smutkiem. - Wcale mnie nie znasz.

- Ależ znam cię - zapewnił, dotykając jej policzka. - Wiem, że gdy przebywam z tobą, czuję się bardziej ożywiony, niż gdy jestem sam. I po raz pierwszy pragnę dzielić z kimś życie. I dobro, i zło. I radość, i smutek. Wszystko chcę z tobą dzielić, Rose.

Mimo że serce jej przepęniało szczęście, raz jeszcze zaprotestowała.

- Ale ja nie pasuję do ciebie. Sprawy, które ty przyjmujesz naturalnie, dla mnie są nowe i obce. Nawet nie potrafię grać w tenisa! Po prostu nie umiem trafić w piłkę.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu roześmiał się głośno.

- Nauczę cię, jeśli zechcesz - powiedział.

- Przestań się śmiać! To jeszcze nie wszystko... - Rose postanowiła być całkiem szczerą. - Nie podobała mi się ta okropna muzyka, którą słyszeliśmy w filharmonii. I w ogóle nie poruszył mnie obraz twego przyjaciela artysty. Uważam, że jego twórczość jest beznadziejna. - To już koniec. Wyznała wszystko.

- W ostatniej kwestii zgadzam się z tobą całkowicie - przyznał Duncan. - Ale jeśli chodzi o Moderno 3, mam inne zdanie. Uwielbiam muzykę współczesną. Wiesz? - Zakreślił ręką koło wokół nich. - Świat się nie skończył, dlatego że mamy inne zdanie na jakiś temat.

- Ale, Duncan... - zająknęła się. - Ja nie potrafię dopasować się do tych wszystkich ludzi, których zaprosili twoi rodzice. A jeśli oni mnie nie zaakceptują, skończę tak samo jak Debora.

- Z pewnością tak nie będzie. - Popatrzył na nią tak ostro, jakby chciał ją potrząsnąć. - Czy wiesz, że oskarżasz moich rodziców i ich przyjaciół o płytki sno-

bizm?

- Nie miałam takiego zamiaru. - Była zdziwiona taką interpretacją jej słów.

- A poza tym, mówisz tak, jakbyś wstydziła się swego pochodzenia - dodał niemal oskarżycielskim tonem.

- Ależ nie! - Jak mógł o niej tak pomyśleć! - Miałam na myśli tylko to, że pochodzimy z różnych środowisk i sądziłam, że w ogóle nie zauważysz kogoś takiego jak ja.

- To nieprawda, Rose. - Duncan wziął ją w ramiona. - Powinienem cię przeprosić.

- Za co?

- Za wykorzystanie okazji, i za to, że również ja nie jestem takim człowiekiem, jak sądziłaś.

- Co masz na myśli?

- Reklama pełna jest iluzji, tam się kładzie nacisk głównie na pozory, a ja chciałem być ponad to. Ceniłem siebie za to, że potrafię spojrzeć głębiej, wydać sąd nie tylko na podstawie zewnętrznych przesłanek. Cenię sobie szczerłość...

Rose wydała jęk rozpaczy i odwróciła wzrok. Duncan uniósł jej podbródek, aż z powrotem spojrzała mu w oczy.

- Cenię sobie szczerłość - powtórzył z naciskiem. - Postanowiłem nie współpracować z klientami, w których produkty nie wierzę. I widzisz, co mi się przytrafiło z tobą! Gdy widziałem cię w tych wszystkich wyszukanych, eleganckich strojach, byłem przekonany, że nosisz je dlatego, że są dla ciebie ważne. Nie zdawałem sobie sprawy, że wkładasz je, ponieważ sądzisz, że ja tego oczekuję! Jakże mogłem być taki ślepy!

Rose patrzyła ze skrucą w jego zboląłą twarz.

- To był jedyny sposób, żebyś mnie zauważył! - zaprotestowała zmieszana.

- Powinienem był się domyślić, co robisz. - Duncan potrząsnął głową. - Pamiętam, że widziałem cię u siebie w biurze, zanim umówiliśmy się na lunch. Stałaś

w recepcji, zrobiło się jakieś zamieszanie i... po chwili cię nie było. Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. - Uśmiechnął się pod nosem. - A potem podczas lunchu, co prawda nie od razu, ale domyśliłem się, kim jesteś.

- Dlaczego więc nie poznałeś mnie w siłowni?

- Zmieniłaś się w porównaniu z naszym pierwszym spotkaniem, pomyślałem więc, że jesteś taka sama jak inne...

- I doszedłeś do wniosku, że nie jestem warta zapamiętania?

- Coś w tym rodzaju. - Musnął dłonią jej policzek. - Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

- Nie mam ci nic do wybaczenia - powiedziała stanowczo. - Kocham cię.

- Ale dlaczego uciekłaś, zamiast porozmawiać ze mną o swoich wątpliwościach? - zapytał poruszony wspomnieniem tamtej nocy. - Jak myślisz, co wtedy czułem?

- Z pewnością byłeś zły. A potem... poczułeś ulgę. - Wyobrażała sobie, że tak się właśnie czuł.

Duncan przecząco potrząsnął głową.

- Z początku byłem nieprzytomny z niepokoju. Wszyscy byliśmy. Potem znalazłem pierścionek i zrozumiałem, że odeszłaś.

Rose dopiero teraz zorientowała się, że popełniła błąd.

- Myślałam, że tak będzie lepiej. Byłam pewna, że jeśli zniknę ci z oczu, szybko o mnie zapomnisz.

- Jakżebyś mógł! - Patrzył na nią przez chwilę, a potem cicho zapytał: - W ogóle nie zamierzałaś się ze mną skontaktować? Czekałem cały tydzień. Sądziłem, że potrzebujesz czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć.

- Wstydziałam się swego zachowania - wyszeptała.

- Tego, że uciekłaś? Och, tego powinnaś się wstydzić!

- Nie... Wstydziałam się, że przeczytałam twój terminarz i wszystkiego, co stało się potem... - Znów zebrało jej się na płacz.

- Tylko osoba niezwykle uczciwa potrafi się wstydzić - rzekł poważnym tonem. - Wcale nie jestem na ciebie zły. Zabolało mnie tylko, że mi nie zaufałaś i nie przyszałaś do mnie ze swymi problemami. Ale teraz rozumiem. Sądziłaś, że przywiązuje wagę do pozorów.

Nadal był urażony. Jak mogła tak lekkomyślnie wszystko popsuć?!

- Nie! - zaprzeczyła. - Myliłam się, Duncan. To wszystko moja wina.

- Rose... - Duncan ujął jej dłonie. - Obydwoje popełniliśmy błędy. Chciałbym zacząć wszystko od początku.

Taki scenariusz przekraczał jej najśmielsze nadzieje.

- Też bym tego chciała.

- Ale obiecaj, że zawsze będziesz omawiać ze mną swoje kłopoty. I nigdy już nie uciekniesz.

- Nigdy już nie ucieknę - powtórzyła.

- To dobrze. - Ścisnął jej rękę. - Ponieważ następnym razem nie będę cię szukać.

Druga szansa. To było więcej, niż mogła oczekiwać.

- Jestem bardzo szczęśliwa, że udało ci się mnie odszukać - powiedziała skruszona. - Nie podałam ci nawet nazwy swego sklepu...

Duncan z uśmiechem pokazał okno wystawowe, na którym widniał dużymi literami wymalowany napis: „Zakątek Rose”.

- Nietrudno się było domyślić, nieprawdaż? - powiedział. - Zresztą wpadłem tu już dwa tygodnie temu przy okazji wizyty w Bread Basket, ale cię nie zastałem.

- Byłeś tutaj? - Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Connie nie wspomniała o tym ani słowa...

- Chciałem cię zobaczyć i dowiedzieć się, jak przebiegają prace renowacyjne - odparł ze stoickim spokojem.

Rose zarumieniła się na wspomnienie kolejnego kłamstwa.

- Przez cały czas wiedziałeś, że nie jestem właścicielką ekskluzywnego, dro-

giego butiku?

- Przecież masz tu kreacje od najlepszych stylistów, czyż nie? - Wyglądał na zdezorientowanego w tak typowo męski sposób, że Rose mimo woli się uśmiechnęła. - Tak już lepiej. Uwielbiam twój uśmiech. - Wziął do ręki leżący na ladzie pantofel. - A więc jak? Czy Kopciuszek zechce przymierzyć pantofelek?

Rose patrzyła na pantofel, zdając sobie sprawę, o co ją prosił, i zdumiona jednocześnie, że nadal ją prosił. Jeśli w nią wierzył i kochał ją tak bardzo, że chciał z nią dzielić życie - nie powinna mieć więcej wątpliwości.

Drżącą ręką sięgnęła po pantofel.

- Poczekaj! - szybko zaprotestował. - Zrobimy to jak należy. - Uklęknął i sam wsunął czarny pantofel na obcasie na jej bosą stopę. - Leży jak ulał - oświadczył. - Wyjdiesz za mnie?

- Tak - odpowiedziała Rose zwyczajnie i szczerze.

- Mam twój pierścionek - powiedział Duncan, wstając, po czym wyciągnął z kieszeni znajome welwetowe pudełko. Zawahał się na moment, a potem w milczeniu wsunął pierścionek z wielkim błyszczącym brylantem na palec Rose.

Obydwoje przyglądali mu się w skupieniu. Rose gorączkowo szukała w myślach jakichś stosownych słów.

- Trzeba będzie go dopasować - zauważył Duncan.

- Nie! - Rose zebrała się na odwagę, szybkim ruchem zdjęła pierścionek i oddała go Duncanowi. - On nigdy nie będzie do mnie pasować.

- Co masz na myśli? - Twarz mu nagle pobladła.

- Chodzi o to, że... Jest zbyt wyniosły, zbyt duży...

- Rose! - zawołał przejętym głosem.

Odłożył pudełko z pierścionkiem na ladę i ponownie zatopił rękę w kieszeni. Ku zdumieniu Rose wyjął stamtąd drugie pudełko z nieco wytartego aksamitu. A potem zdecydowanym ruchem wsunął jej na palec pierścionek z brylantem o staroświeckim szlifie, osadzonym w pięknej oprawie z białego złota.

Ten pierścionek pasował tak, jakby był dla niej zrobiony. Rose odebrało dech.

- Jakiż piękny! - Patrzyła na niego oczyma mokrymi od łez. - Bardzo mi się podoba... To antyk, prawda?

- Należał do mojej babki. Jest dość staroświecki i niepozorny... Obawiałem się, że nie będziesz nim zachwycona.

- Jak mogłeś tak myśleć... - Rose urwała zakłopotana, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego uważał, że nie spodoba jej się pierścionek. Och, jakie szczęście, że zdobyła się na szczerłość i odmówiła przyjęcia wielkiego brylantu!

- Duncan, on jest wspaniały! - zapewniła z całego serca.

- Daję ci ten pierścionek wraz z całą moją miłością - powiedział, ujmując jej dłoń - i miłością, której ten pierścionek był świadkiem.

Nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa. Duncan naprawdę ją kochał. Kochał prawdziwą Rose!

- Och, Duncan! - Objęła go ramionami i wybuchła płaczem.

- Dziękuję ci, Rose - usłyszała jego szept.

Odsunęła się zdziwiona.

- Za co?

- Za to, że jesteś sobą. Za to, że mnie znalazłaś. Za to, że jesteś odpowiednią kobietą do noszenia tego pierścionka.

I gdy Duncan pochylił głowę, by ją pocałować, Rose usłyszała anielskie trąby.

Pewnego chłodnego, jesiennego poranka, w kaplicy Uniwersytetu Rice, Rose Franklin, w zapierającej dech wyszywanej perełkami sukni z długim trenem, poślubiła Duncana Burke'a.

I żyli długo i szczęśliwie.

